

MARCIN A. GUZEK



KOMANDORIA 54

SZARE PŁASZCZE

MARCIN A. GUZEK

SZARE PŁASZCZE: KOMANDORIA 54



[Kup książkę](#)

Szare Płaszcze: Komandoria 54

Copyright © Marcin A. Guzek

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Jacek Łukawski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017

druk ISBN 978-83-7995-095-9

epub ISBN 978-83-7995-096-6

mobi ISBN 978-83-7995-097-3

Redakcja: Emil Strzeszewski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Projekt okładki Jacek Łukawski

Skład okładki Paweł Dobkowski

Skład i typografia: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

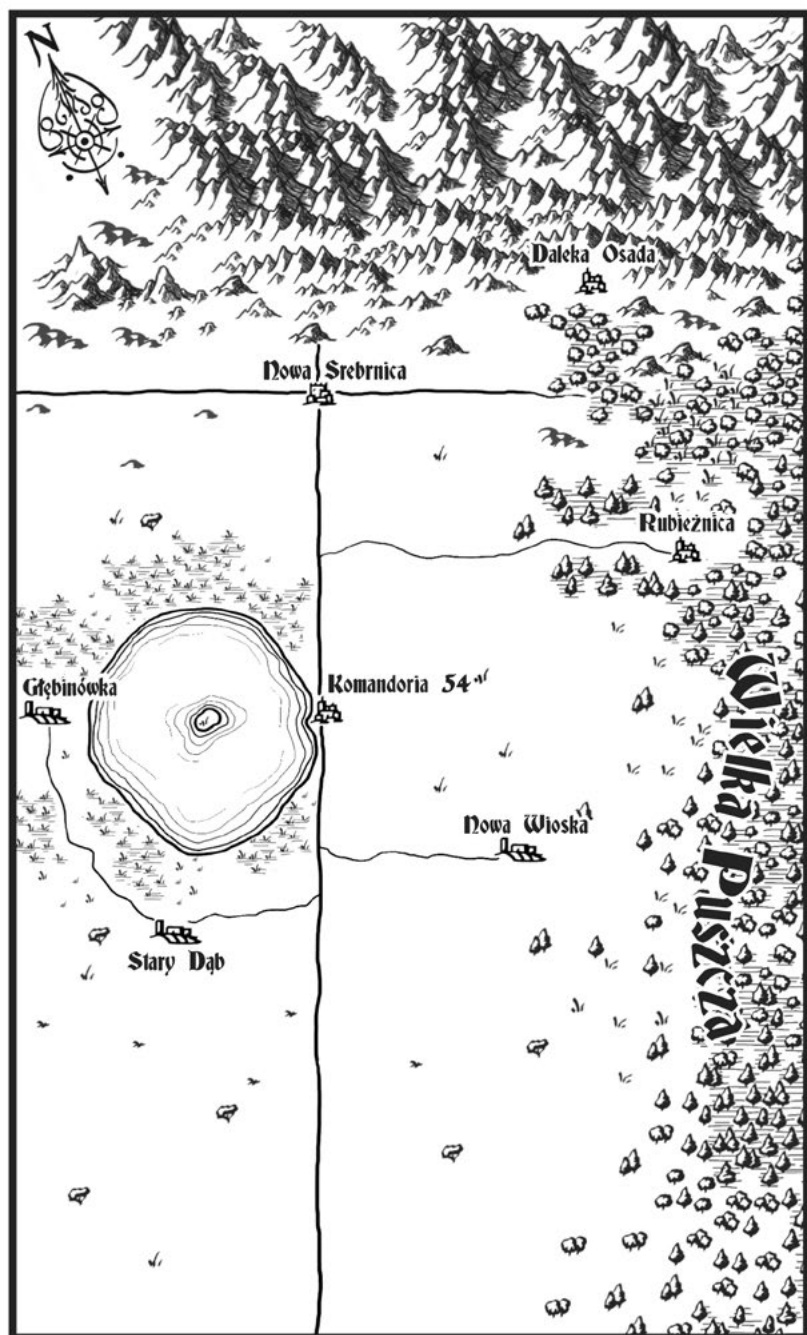
Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl,
www.eBook.MadBooks.pl i eBooks4U.pl

Kup książkę

*Smoczycy, Michałom, Jerzemu,
rodzicom i wszystkim innym,
którzy mnie wspierali.*

SPIS TREŚCI

Rozdział I	9
Rozdział II	63
Rozdział III	119
Rozdział IV	173
Rozdział V	229
Rozdział VI	299
Rozdział VII	351
Rozdział VIII	397
Epilog	451



ROZDZIAŁ I

Obleśni – to było pierwsze słowo, które przychodziło Valerianowi do głowy, kiedy próbował opisać towarzyszy. Brudni, śmierdzący, ubrani w nigdy nieprane szmaty. Siedzieli przy ognisku, gotując w starym kociołku coś, co cuchnęło jeszcze gorzej niż oni. Starał się więc trzymać jak najdalej. Niemal bał się, że ten odór mógłby przejść na niego.

Więc tak to ma wyglądać? – spytał w duchu sam siebie. Po wszystkim, co zrobiłem, co poświęciłem i co wycierpiałem? Jak do tego doszło?

Rozejrzał się dookoła, ale prądawna puszcza, w której przebywali, nie przynosiła żadnych odpowiedzi. Wszzechobecną ciszę zakłócało tylko nienaturalnie brzmiące bulgotanie, dochodzące ze starego, wyszczerbionego kociołka.

– Będziesz jadł? – spytał zachrypniętym głosem Bliższy.

– Chyba sobie daruję – odpowiedział Valerian, nawet nie zerkając na pokrytą czyrakami twarz banity.

Wstał i odszedł kilka kroków w głąb lasu, próbując uciec od smrodu. Po tygodniach wędrówki jego drogie ubranie było całkowicie zniszczone. Guziki poodpadały z eleganckiego dubletu, nogawice rozdarły się na kolanach, a całość już dawno zmieniła kolor na błotny. Żywił jednak nadzieję, że wciąż wygląda lepiej niż te zwierzęta przy ognisku.

Blizszy i Dalszy – tak nazywał swoich towarzyszy, zależnie od tego, gdzie akurat stali. Prawdziwe imiona nie interesowały go i nawet nie próbował ich spamiętać. I tak nie miał z nimi o czym rozmawiać. Jeszcze do niedawna był lekarzem z Wolnych Miast. Do czasu aż zabobonni głupcy przyszli po niego w środku nocy i zabrali wszystko, co miał. Nie potrafili docenić znaczenia jego pracy.

Był gotów umrzeć, spoglądając swoim oprawcom w oczy. Jak męczennik zginąć za sprawę, której poświęcił już tak wiele. Ale nie mógł. Jego praca nie była jeszcze ukończona, a nikt inny nie podołałby zadaniu. Nikt inny nie miał wiedzy i determinacji, potrzebnych, by zakończyć to dzieło. Więc uciekł, unikając prześladowców.

A teraz wylądował tutaj, na środku pustkowia, z bandą degeneratów.

– Znów śnisz na jawie? – rozbrzmiał nad nim donośny, głęboki głos Olbrzyma.

Valerian nigdy nie mógł zrozumieć, jakim cudem ktoś tych rozmiarów mógł poruszać się tak cicho.

– Czy już czas? – spytał, odsuwając się o kilka kroków od przybysza.

– Tak. Tej nocy ruszycie. – Wielkolud usiadł na pniu, a jego oczy znalazły się na równi z oczami stojącego człowieka. – Jesteś gotów?

– Oczywiście, że jestem. W tej cholernej puszczy nie ma do roboty nic poza byciem gotowym.

Nie podobało mu się, że kolos na niego patrzy. Całkowicie czarne oczy tej istoty miały w sobie coś przeraźliwie przenikliwego. Jakiś magnetyzm. Nie sposób było przestać w nie patrzeć.

– Dobrze... Będę potrzebował trzech z jednej krwi. Jedną młodą.

– Jak młodą? – spytał Valerian, z pewnym zaniepokojeniem.

Olbrzym podrapał się po łysej głowie. Całe jego ciało, okryte jedynie przepaską biodrową, wydawało się pozbawione wszelkiego owłosienia.

– Nie więcej niż osiem wiosen. Ale nie martw się, jestem pewien, że obstawa świetnie sobie poradzi z tym zadaniem – stwierdził, zerkając w kierunku banitów przy ognisku. – Dzieci to wręcz ich specjalność.

Twarz Valeriana wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia.

– Ciekawe – zauważył jego rozmówca. – Powiedz mi, przyjacielu, bo wolę to wiedzieć na przyszłość. Gdzie dokładnie przebiega granica wiekowa, poniżej której porywanie, torturowanie i mordowanie wydaje ci się czymś obrzydliwym?

– Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla sprawy! Nie czerpałem z tego przyjemności. To była tragiczna konieczność.

– Zabawne. Tamci dwaj – wielkolud wskazał Bliższego i Dalszego – wszystko, co zrobili, zrobili dla siebie. I czerpali z tego olbrzymią przyjemność. I oto jesteście dokładnie w tym samym punkcie.

Gigant wstał i powoli ruszył przed siebie.

– Uważajcie na Szaraków. Z tego, co słyszałem, Zakon ściąga w najbliższym czasie nowych rekrutów w tę okolicę.

Pięści Valeriana zacisnęły się na samą myśl o oprawcach z Szarej Straży.

– I jeszcze jedno. Upewnij się, że dziecko, które przyprowadzicie, jest nietknięte. – Olbrzym wymownie spojrzał w kierunku zbirów przy ognisku.

Obrzydzenie malujące się na twarzy Valeriana musiało go wielce rozbawić, gdyż odszedł, uśmiechając się, jak gdyby właśnie usłyszał wyśmienity dowcip.

*

Duncan ukląkł na trakcie i przez chwilę uważnie przyglądał się śladom.

– Wilk – orzekł wreszcie.

– Szokujące – skomentował Edwin z wysokości swojego konia. – Wilk. Kto by się spodziewał. Ostatecznie nie jesteśmy w środku puszczy czy czegoś takiego.

Rozłożył ręce, wskazując otaczające ich ze wszystkich stron nieskończone zastępy drzew.

– Nie widzisz w tych śladach niczego dziwnego? – spytał tropiący, spoglądając na swojego towarzysza.

Jeździec przybrał zamyśloną minę, którą zwykł robić, gdy udawał zastanowienie.

– Tamten ślad jest faktycznie dziwny – odparł.

– To zwykła kałuża – skwitował Duncan.

– Albo tylko chce, żebyśmy tak myśleli – zaznaczył konny, podnosząc do twarzy palec wskazujący prawej ręki. – Daj spokój, nigdy nawet nie widziałem żywego wilka. O co ci chodzi?

– Był sam – stwierdził łowca.

– A to ważne, ponieważ?

– Wilki to zwierzęta stadne. Jak Szarzy Strażnicy. Zwykle trzymają się razem.

Myśliwy wstał i otarł czoło ręką. Mimo letnich upałów miał na sobie kolczugę, na którą założył tunikę z herbem Zakonu Szarej Straży.

– A czy to mały wilk? – spytał jego towarzysz.

– Raczej dosyć duży.

– Szkoda. Jakby był mały, moglibyśmy go złapać i wytresować. To byłoby coś, mieć własnego wilka. Może nawet byłby szary. W balladach, które śpiewałem w Wolnych Miastach, Szarzy Strażnicy często mieli ze sobą szare wilki.

– I naprawdę wierzyłeś w te ballady?

– Oczywiście, że nie. Część z nich sam wymyśliłem – westchnął śpiewak. – Gdybyśmy wpadli do jednej z okolicznych wiosek z małym szarym wilczkiem, nie potrzebowalibyśmy nawet szarych płaszczy. Wszystkie kobiety i tak by się na nas rzuciły.

Słońce powoli obniżało się w swojej wędrówce po nieboskłonie, temperatura nadal jednak była nieznośna. Duncan w swoim pancerzu wyglądał, jakby zaraz miał się ugotować.

– Wiesz, że moglibyśmy jechać nago, a i tak wszyscy tutaj wiedzieliby, że należymy do Szarej Straży – stwierdził bard, sam ubrany jedynie w lekki kaftan.

– Miejscowi muszą czuć przed nami respekt. Człowiek w zbroi wzbudza większy respekt niż człowiek w podartej koszuli.

– Po raz nie wiem który powtarzam, ona nie jest podarta! To ma tak wyglądać. W ogóle nie znasz się na modzie Wolnych Miast. I uwierz mi, że nieprzytomny człowiek w kolczudze nie wzbudzi większego respektu.

– Jestem daleki od utraty przytomności – zapewnił młodzieniec stanowczo, po czym uciszył towarzysza ruchem ręki. Nasłuchiwał.

Las wydawał się spokojny jak zawsze. Potężne drzewa nachylały się nad starym, szerokim traktem imperialnym, jakby gotowe w każdej chwili na niego wkroczyć. Minęło ponad sto lat od czasu, kiedy ostatnio ktoś naprawiał tę drogę. Przyroda coraz wyraźniej pochłaniała szlak, tak jak pochłonięła już większość innych śladów minionej cywilizacji.

– Wóz – stwierdził wreszcie Duncan.

I po chwili, na potwierdzenie jego słów, ich oczom ukazał się nadjeżdżający z naprzeciwka pojazd.

– O tej porze, zgaduję, to będzie Stary Nolan – ocenił Edwin.

Kiedy powóz się zbliżył, zobaczyli, że obok starego, pomarszczonego woźnicy siedziała jedna z jego licznych rudych i piegowatych wnuczek. Duncan nie miał pojęcia, która, gdyż nie rozróżniał dziewcząt. Poza tą dwójką, z tyłu wozu, na skrzyniach, siedziała jeszcze przygarbięta przez mężczyznę dziewczyna o imieniu Amelia.

– Witamy pana gospodarza! – zakrzyknęli jeźdźcy.

– Na patrolu, widzę – odparł starzec.

– Służba nie drużba – powiedział Edwin tonem kogoś ciężko pracującego.

– A my z Nowej Wioski wracamy. Zapasy żeśmy uzupełniali.

– Nie ma z wami Magnusa? – spytała siedząca obok Nolana wnuczka, chyba środkowa, Tatria.

– Nie – pośpieszył z wyjaśnieniem Edwin, szczerząc się do dziewczyny. – Nasz wielki przyjaciel pozostał pilnować Komandorii. Spodziewamy się dziś przybycia nowych rekrutów.

– Miejscowe dziewczki się ucieszą – powiedział z przekonaniem Nolan. – Niech tylko trzymają się z dala od moich dziewczuch, bo jaja pouryvam. A ty też się tak do niej nie szczerz, wyjcu. Moje wnuczki są dla lepszych od ciebie.

– Wypraszam sobie, Szary Strażnik to na pewno najlepsza partia w okolicy.

– Ano, Szary Strażnik, a nie jakiś rekrut z daleka. Płaszcz najpierw zdobądź, to może wnuczki na ciebie spojrzą.

– To może chociaż panienka Amelia się zlituje i obdarzy biednego śpiewaka uśmiechem?

– Panienska Amelia ma lepszy gust do mężczyzn – odpowiedziała dziewczyna, taksując go spojrzeniem.

– Z pewnością ostrzeżemy nowych rekrutów, by trzymali ręce przy sobie – zapewnił Duncan, przerywając rozmowę. – A teraz powinniśmy ruszać. Nasza zmiana się jeszcze nie skończyła.

Skinęli głowami i ruszyli naprzód. Nolan pogonił dwie stare kobyły, które ciągnęły jego powóz.

– Myślisz, że ktoś powinien powiedzieć starcowi, że większość chłopów w sąsiedztwie nie trzyma swoich rąk z dala od jego wnuczek? – spytał bard.

– Tylko jeśli chcesz mieć go na sumieniu. Jego albo połowę mężów w tej okolicy...

Ruszyli dalej w swoją stronę. Trubadur nie mógł jednak powstrzymać się przed kolejnym komentarzem.

– To niepojęte. Oto jesteście inteligentni, obcy, wykształceni, kulturalni. Dwa wspaniałe przykłady przyszłych Szarych Strażników, a tymczasem wszystkie dziewczyny w okolicy oglądają się tylko za tym tępym wielkoludem Magnusem. Nolanówny prawie wyskakują z ubrań na sam jego widok. Ja rozumiem, że jego gabaryty i pewien ruralistyczny wdzięk mogą lepiej przemawiać do prostych niewiast zamieszkujących te, bądź co bądź, wiejskie okolice. Jednak nadal jest to zaskakujące.

– Może to dlatego, że używasz słów w stylu „ruralizm” – zauważył Duncan.

Było już późno. Mieli właśnie kończyć patrol i wracać do komandorii, gdy w oddali pojawiła się trójka jeźdźców.

– Wygląda na to, że przybyli nowi rekruci – stwierdził Duncan.

*

Nowoprzybyli stanowili dziwaczną zbieraninę, nawet jak na rekrutów Zakonu. Arystokrata, mnich i wyjątkowo osobliwa kobieta. Wszyscy troje byli mniej więcej w wieku Duncana i pochodzili z południa, z Terytoriów Centralnych, gdzie mieściło się serce Imperium. Pierwszym jeźdźcem był Nathaniel, trzeci syn księcia Terylu, o czym nie omieszczał poinformować już przy pierwszej okazji, szczerząc przy tym swoje doskonale białe zęby.

Na drugim koniu siedział Lucius, niezbyt postawny chłopak, z ogoloną na czubku głową. Jego ubranie stanowił podniszczony mnisi habit, na który niechlujnie naszyto herb z wizerunkiem Szarej Wieży.

Ostatnia jechała młoda kobieta o imieniu Cassandra. Była drobną niewiastą w całkowicie niedopasowanym męskim ubraniu.

– Czy ta komandoria ma już dowódcę rekrutów? – spytał Nathaniel, kiedy skończyli się przedstawiać i ruszyli w dalszą drogę.

– Tak się składa – odpowiedział Duncan – że ja pełnię tę funkcję.

Przybysz po raz pierwszy naprawdę zatrzymał na nim wzrok.

– I jestem pewien, że świetnie sobie radzisz. – Ku zaskoczeniu wszystkich zabrzmiało to naprawdę

szczerze. – Rozumiem, że masz jakieś doświadczenie na froncie dowodzenia?

– Nie – przyznał niechętnie zapytany. – Ale mój ojciec był Szarym Strażnikiem, więc można powiedzieć, że całe życie spędziłem w Zakonie.

– Świetnie, będę potrzebował kogoś takiego w roli zastępcy.

Zszokowany Duncan bezskutecznie próbował znaleźć odpowiednią odpowiedź. Na szczęście Edwin postanowił przerwać rozmowę, zmieniając temat.

– Więc zgaduję, Luciusie, że jesteś mnichem?

– Tak... to znaczy nie. W sensie... – mężczyzna wydawał się wręcz przerażony faktem, że ktoś zwrócił na niego uwagę – ...wychowałem się w klasztorze, ale nigdy nie przyjąłem święceń. Opat stwierdził, że muszę najpierw zobaczyć świat poza wyspą.

– Wyspą?

– Tak. Nasz klasztor jest położony na małej wysepce. Mieszkają tam tylko braciszkwowie i...

– Chwila. Jak to... tam się wychowałeś?

– Moi rodzice zginęli, kiedy byłem dzieckiem. Katastrofa okrętu. Fale wyrzuciły mnie na brzeg i zakonnicy postanowili się mną zaopiekować.

– Więc nigdy nie widziałeś żadnego kawałka świata poza klasztorem?

– Nie. Nigdy. Ale dużo czytałem! – dodał pośpiesznie Lucius.

– Ten przydział zaczyna się robić coraz ciekawszy – stwierdził pieśniarz, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Ciekawe, kogo przysłał nam z transportem z zachodu?

– Z zachodu? – spytał Nathaniel.

– Tak. Ma przybyć dzisiaj – wyjaśnił Duncan. – Trochę zapasów wraz z trójką rekrutów. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się was przez następne dwa lub trzy dni.

– No cóż, postanowiłem nadać odpowiednie tempo – odparł arystokrata. – Nie mogłem się doczekać tej nowej komandorii.

– Jestem pewny, że człowiek z twoim pochodzeniem będzie nią po prostu zachwycony. – Jakimś sposobem w głosie barda nie zabrzmiał nawet cień kpiny.

*

Podróż zajęła im jeszcze ponad godzinę. Dla Duncan'a była to wyjątkowo nieprzyjemna wycieczka, choć Edwin wydawał się szczerze rozbawiony sytuacją.

Wczesnym wieczorem ich oczom ukazała się Komandoria 54. Drewniana palisada otaczała pierwotną strażnicę legionu, okupującą niewielki obszar między linią traktu a brzegiem Głębokiego Jeziora. Wewnątrz ogrodzenia znajdowała się przede wszystkim stara, pokryta mchem kamienna wieża. Do niej przylegał podłużny, częściowo wkopany w ziemię drewniany barak. Centralny punkt dziedzińca stanowiła stara kamienna studnia. Były tu jeszcze dość duże stajnie i niewielka przystań, obok której na brzeg wyciągnięto małą łódkę. Na powitanie wyszedł Magnus, wielki, ruralistyczny osiłek, jak zwykł określać go Edwin.

Nathaniel ocenił całe miejsce bardzo krytycznym spojrzeniem.

– Gdzie są kwatery dla wysoko urodzonych rekrutów? – zapytał.

– Wszyscy rekruci śpią razem w baraku – wskazał Duncan. – W wieży jest jeden pokój, ale należy on do Olafa, naszego Szarego Płaszcz.

Nathaniel wyraźnie nie wydawał się z tego zadowolony.

– Ty! – zawołał do Magnusa. – Zajmij się naszymi końmi. Lucius, weźmiesz mój bagaż.

Ku irytacji Duncana obaj posłusznie przystąpili do wykonania zleconych im zadań.

Dowódca rekrutów zeskoczył z konia i rzucił lejece Magnusowi, trochę zły na siebie, że to robi, po czym ruszył za arystokratą w kierunku baraku. W podłużnym pomieszczeniu pod ścianami stało w równych odstępach dziesięć drewnianych łóżek. Szlachcic z rosnącą dezaprobatą potupał w klepisko podłogi.

– Połóżcie moje rzeczy tutaj – nakazał, siadając na jednym z łóżek.

– Tu śpi Magnus – zaprotestował Duncan.

Zdawało się, że Nathaniel dopiero teraz zauważył wielkoluda.

– Wezmę twoje łóżko, możesz sobie wybrać inne – zwrócił się do postawnego rekruta. – Luciusie, ty zajmij łóżko obok, żebym miał cię pod ręką.

– Tu śpi Magnus – powtórzył twardo dowódca rekrutów.

– Wybacz. Może nie dosłyszałeś za pierwszym razem. Jestem księciem.

– Byłeś księciem. Po miedzianym pierścieniu zdołbiącym twój palec wnioskuję, że jesteś raczej rekrutem Szarej Straży, tak samo jak Magnus.

– Urocze. – Nathaniel roześmiał się. – Równość, braterstwo i wspólna walka z magami i siłami ciemności. Jak w balladach, prawda? Naprawdę zaczynam cię lubić, Duwanie.

– Duncanie.

– Nie będę się sprzeczał. A teraz, wracając do mojego łóżka...

– Jego łóżka.

– Chyba jednak nie zacznę cię lubić.

– Przeżyję, a teraz...

– Nie szkodzi – przerwał Magnus, stawiając skrzynkę we wskazanym miejscu. – Pan może zająć to łóżko.

Duncan, nie mając już właściwie nic do dodania, po prostu odwrócił się i wyszedł na zewnątrz. Przez chwilę przeklinał pod nosem, po czym rozejrzał się po dziedzińcu. Dostrzegł Edwina, siedzącego na pieńku obok wejścia do starej wieży.

– Ten książęcy bufon traktuje ich jak swoją własność – poskarżył się, podchodząc bliżej.

– Szokujące. Kto by się tego spodziewał po kimś takim?

– A oni zdają się nie mieć nic przeciwko. – Duncan całkowicie zignorował drwinę. – Zachowują się jak jego służący.

– Ty zachowujesz się jak służący Olafa.

– To co innego, Olaf jest Szarym Płaszczem i naszym przełożonym. Nie jakimś nadętym arystokratą.

– Wiesz, na czym polega twój problem? – przerwał mu Edwin. – Wychowałeś się w Szarej Straży.

– Co to...

– To, że może i zobaczyłeś kawał świata, ale nigdy faktycznie w nim nie żyłeś.

Kilka metrów dalej, na środku dziedzińca, stała Cassandra. Dziewczyna nachylała się nad starą, kamienną studnię i z wyraźnym zainteresowaniem wpatrywała w ciemną otchłań poniżej.

– Popatrz – dodał bard. – Odkąd przyjechaliśmy, zsiadła z konia, podeszła do studni i od tamtej pory się nie ruszyła. Myślisz, że chce skoczyć?

– Myślę, że ktoś z nas powinien ją o to zapytać.

– A ja myślę, że to doskonale zadanie dla dowódcy rekrutów – stwierdził z przekonaniem Edwin.

– Ta studnia i tak jest zapieczętowana kratą. – Dowódca rekrutów spróbował uniku, ale odpowiedzialna część jego natury ostatecznie wzięła górę.

Wzruszył ramionami i podszedł do dziewczyny.

– Masz na imię Cassandra, tak?

Dziewczyna nie zareagowała, więc Duncan postanowił zwrócić na siebie uwagę, kładąc rękę na jej ramieniu. Tym razem reakcja była błyskawiczna. W ułamku sekundy Cassandra znalazła się dwa kroki dalej, ścisnąc sztylet i wbijając w niego spojrzenie drapieżnika gotowego do ataku.

– Spokojnie – powiedział mężczyzna, podnosząc ręce wyżej, by pokazać, że jest nieuzbrojony. – Nie zrobię ci krzywdy. Chciałem tylko porozmawiać.

– Nie lubię... – Cassandra zrobiła krok do tyłu, obchodząc studnię – ...nie lubię, kiedy inni... Kiedy się mnie dotyka.

Dopiero kiedy znalazła się po przeciwnej stronie studni, ostrze zniknęło z jej ręki równie szybko, jak się pojawiło. Wzrok znów wbiła w głęboką ciemność.

– To stara studnia. – Jakoś nic lepszego nie przyszło mężczyźnie do głowy. – Pewnie równie stara jak wieża.

– Starsza – stwierdziła stanowczo Cassandra, nie podnosząc wzroku.

Duncan nie miał pojęcia, co jeszcze może powiedzieć. W tej dziewczynie było coś niepokojącego. Z tym większą ulgą powitał widok wjeżdżających przez bramę jeźdźców.

Na pierwszym koniu jechał Olaf, wysoki, chudy, wręcz kościsty Szary Strażnik. Jego ubiór był stary, zniszczony i wielokrotnie połatany. Pod tym względem doskonale współgrał z poznaczoną licznymi bliznami twarzą. W całej postaci Olafa było coś, co przywodziło na myśl wieżę, w której mieszkał. Pradawną, wyniszczoną, lecz nadal funkcjonalną ruinę.

Za Olafem podążali kolejni nowi rekruci: dwoje konno i jeden na wyładowanym po brzegi wozie. Na pierwszym koniu jechał Nord. Potężnie zbudowany mężczyzna był typowym przedstawicielem wojowników znad Północnego Morza. Miał długie włosy ko-

loru słomy. Takie same porastały jego twarz, potężną brodą opadając na klatkę piersiową w dwóch warkoczach. Ubrany był tylko w spodnie, eksponując pokryty tatuażami tors. Do siodła przytroczone miał cztery topory różnych rozmiarów i kształtów.

Następny był wóz z zapasami. Kierowała nim atletycznie zbudowana blondynka, ubrana w białą, dosyć obcisłą koszulinę, która ledwo była w stanie pomieścić widowiskowych rozmiarów biust. Trochę odwracało to uwagę od faktu, że kobieta była uzbrojona w miecz i dwa sztylety.

Ostatnim jeźdźcem również była dziewczyna. I to wyjątkowo piękna dziewczyna. Długowłosa brunetka o zielonych oczach, ubrana po męsku, lecz elegancko, w stylu typowym dla Wolnych Miast. Było w niej coś wyniosłego, ale delikatnego zarazem.

– Duncan, do mnie. – Z zamyślenia wyrwał go głos dowódcy. – Mamy nowych rekrutów, spotkałem ich w Nowej Srebrnicy. A ci to kto? – Wskazał na mężczyzn wychodzących właśnie z baraku.

– Nowi rekruci. Przyjechali dzisiaj z południa.

– Wcześniej.

– Mieliśmy dobre tempo – wtrącił szlachcic, podchodząc. – Może się przedstawię...

– Nie trzeba. – Szary Strażnik zeskoczył z konia. – Zbierzcie się za chwilę obok studni, zrobimy wam małą odprawę. – Ruszył szybkim krokiem w kierunku wieży.

Młodzian zasalutował plecami swojego przełożonego, po czym próbował pomóc pięknej brunetce zsiąść

z konia. Nie był niestety jedynym, któremu przyszło to do głowy.

– Pani pozwoli, że pomogę. – Padły słowa, podkreślone doskonałym, książęcym uśmiechem.

– Dziękuję. – Dziewczyna odwzajemniła uśmiech, przyjmując pomoc.

– Pani pozwoli, że się przedstawię, Nathaniel Everson z Terylu. – Skłonił się, całując jej dłoń.

– Czy Eversonowie nie są rodziną panującą w Terylu?

– Istotnie. Zdaje się, że chyba są. – Wahanie w głosie Nathaniela było perfekcyjnie niewymuszone.

– Ej, ty! – Głos blondynki z wozu zabrzmiał jak na musztrze. – Rusz tyłek i pomóż mi to rozładować!

– Oczywiście – stwierdził Duncan, ruszając w jej stronę i próbując ignorować wyraz rozbawienia na twarzy obserwującego ich z boku Edwina.

*

– Witajcie, bando gówniarzy – przywitał się Olaf kilka chwil później, z dezaprobatą patrząc na grupę zebraną na dziedzińcu. – To urocze miejsce, w którym się znajdujecie, to Komandoria 54 Zakonu Szarej Staży. Znana również jako Kurwidolek. Jesteśmy tu, bo zanim wszystko poszło w cholerę, tutejsze wzgórza słynęły z bogatych złóż. Gdyby udało się wznowić wydobywanie w tutejszych kopalniach, być może te tereny wróciłyby na łono cywilizacji, a wtedy my, Szara Straż, moglibyśmy stwierdzić, że to nasza zasługa, co da nam strategiczną przewagę i pozwoli pokierować losami

tych terenów. Niestety, nawet jeśli się uda, efekty i tak nie będą widoczne wcześniej niż za kilka lat. Dlatego też Rada Zakonu uznała, że zamiast przysyłać tu pełną obsadę Szarych Płaszczy, wystarczy umieścić na tym zadupiu bandę rekrutów i jednego weterana w charakterze dowódcy. Znaczy mnie. – Wskazał palcem na swoje gęste, czarne wąsiska. Wiatr zawiał ciut mocniej, lekko poruszając zniszczonym płaszczem Olafa, jakby dla podkreślenia jego słów.

– Przez najbliższe miesiące zajmiemy się głównie nawiązywaniem przyjaznych stosunków z miejscową ludnością, pomaganiem w rozwiązywaniu jej problemów, patrolowaniem traktów, koordynowaniem prac przy wznowieniu wydobywania w kopalniach i tym podobnymi. Tylko nie myślcie sobie, że to będzie sielanka. Jesteśmy na Rubieży, do najbliższej Komandorii Straży jedzie się prawie tydzień. W podobnej odległości znajduje się najbliższa siła zbrojna, którą moglibyśmy poprosić o pomoc. Co więcej, jeśli przetrwacie następny rok, nadal będziecie musieli starać się sprostać moim wymaganiom. Ci, którym się uda, zasłużą sobie na miejsce pośród Szarych Strażników, reszta albo się złamie i wycofa, albo zginie. I pamiętajcie: tylko czterech na dziesięciu rekrutów faktycznie dostaje płaszcz. Z pozostałych sześciu dwóch zwykle rezygnuje, dwóch po prostu się nie nadaje i dwóch ginie. – Ostatnie słowa wypowiedział, patrząc im prosto w oczy, jakby zastanawiał się, kto z nich pierwszy wyląduje w grobie.

Przez chwilę chodził w tę i z powrotem wzdłuż szeregu, przyglądając się zebranym, wreszcie wznowił przemowę.

– Tych trzech po prawej to Duncan, Magnus i Edwin. Pierwszy pełni funkcję dowódcy rekrutów, choć kto wie, czy nie ma wśród was lepszego kandydata. – Słowa nie były skierowane do nikogo konkretnego, co nie przeszkodziło Nathanielowi błysnąć swoimi doskonale białymi, książęcymi zębami w uśmiechu triumfu. – Pozostali dwaj to Wielkolud i Śmieszek. Przez pierwszych kilka dni będą was niańczyć, bo znają już teren, a ja nie mam na to czasu. Wasze imiona, szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzą, ale muszę wiedzieć, co potraficie, więc zacznijmy od mojej lewej. Tak, to oznacza ciebie, Nordzie.

– Ulgar Wulgarson z...

– Nieważne – przerwał Olaf. – Potrafisz władać tym toporem?

– Zabiłem już pięć osób.

– Świetnie. Przyjmę, że niektóre z nich nawet się broniły. Jesteś spory, to dobrze, ludzie nie będą chcieli z tobą zadzierać. Na razie chyba nazwę cię po prostu Nordem. Następny.

– Jestem Nathaniel Everson, trzeci syn księcia Eversona, władcy Terylu...

– Nie! – Kolejny ostry okrzyk. – Byłeś synem władcy Terylu, teraz jesteś po prostu Nathaniel. Wiem, jak chowają się władcy Terylu, więc wiem też, czego cię już nauczyle, Książę. Następna.

– Po prostu Clara – powiedziała stojąca obok brunetka, spoglądając na rozmówcę z czysto arystokratyczną godnością.

– Widzisz, Książę, mamy tu kogoś, kto szybko się uczy. Co potrafisz, „po prostu Claro”?

– Jeżdżę konno, potrafię czytać i pisać, miałam też nauczyciela szermierki...

– Starczy, słyszę po akcencie, że to Wolne Miasta Zachodu, wiem, czego się tam uczy młode damy. Młoda Damo. Przejdźmy dalej.

– Matylda – powiedziała atletyczna blondynka. – Potrafię walczyć. Dobrze.

– I to mi się podoba. Prosto, wymownie. Może nawet zapamiętam twoje imię. Następny.

– L... Lu... Lucius – wykształcił z siebie młodzieniec, wyglądając, jakby miał zamiar stracić przytomność. – Wychowałem się w klasztorze na... Umiem czytać i pisać. I dużo czytałem.

– Przyszły Kruk, co? No cóż, ktoś w tym Zakonie musi umieć myśleć. Nazwiemy cię Mnichem, łatwo będzie poznać po fryzurze. I wreszcie ty.

Dziewczyna na końcu szeregu stała z oczami wbitymi w niebo.

– Hej, dziewczko, słyszysz mnie?

– Tak – odpowiedziała sennie.

– To może się przedstaw.

– Cassandra.

Olaf zerknął na zgromadzonych, jakby zastanawiając się, czy nie staje się właśnie ofiarą jakiegoś żartu.

– A co potrafisz, Cassandro? – spytał wreszcie.

– Byłam wcześniej sztukmistrzem – stwierdziła powoli dziewczyna.

– Sztukmistrzem? A co potrafiłaś robić jako ten sztukmistrz?

– Rozśmieszałam ludzi. Chodziłam po linie. Żonglowałam. Stałam na głowie na pędzącym koniu. Plułam ogniem. I czasami jeszcze rzucałam nożami z przepaską na oczach. Byłam błaznem.

– Czekaj. – Olaf rozejrzył się po dziedzińcu. – Byłaś w stanie trafić tamto jabłko?

Nóż przeleciał obok jego ucha i trafił w owoc. Starzec odwrócił się błyskawicznie, ale Cassandra stała dokładnie w tej samej pozycji, co chwilę wcześniej, nadal patrząc wprost na niego.

– Nieźle oko – stwierdził, zastanawiając się, skąd dziewczyna w ogóle wyciągnęła ostrze. – Potrafisz też strzelać z łuku?

– Nie wiem. Nigdy nie miałam łuku. – Jej wzrok znów wbił się w niebo.

– Taa, ciebie chyba nazwiemy Wariatką.

Dowódca wrócił na środek i jeszcze raz przyjrzał się wszystkim, po czym przystąpił do drugiej części swojej odprawy.

– Jak wspomniałem, przed Upadkiem było to tętniące życiem miejsce, ale Plagę przetrwała tylko jedna mała osada. Jakies pół wieku temu nowi osadnicy zamieszkali w ruinach największego miasta w tej okolicy. Od tamtej pory liczba osiedli na tym terenie wzrosła do sześciu. Na północ od nas, na skrzyżowaniu starych traktów, leży Nowa Srebrnica. To największa

mieścina w okolicy. Po drugiej stronie Głębokiego Jeziora, za tamtą wyspą, jest wioska rybacka o nazwie Głębinówka. Na południowym zachodzie mamy Stary Dąb. Tamtejsi ludzie mieszkali tu jeszcze przed Upadkiem, więc chyba można ich uznać za tubylców. Na południowym wschodzie mamy Nową Wioskę, jak nietrudno się domyślić, to najnowsze sióło w tym sąsiedztwie, liczy sobie zaledwie jakieś dwadzieścia lat, choć w większości zamieszkują je osoby, którym zrobiło się za ciasno w Nowej Srebrnicy. Na wschód od nas, tuż przy granicy Wielkiej Puszczy, znajduje się Rubieżnica. To mały przysiółek, zamieszkały głównie przez łowców i drwali. I jest jeszcze jedno miejsce na północy, pośród wzgórz. Miejscowi nazywają je po prostu Daleką Osadą. Tamtejsi nie są zbyt skorzy do bratania się z innymi. Szczerze mówiąc, po miesiącu tutaj nie spotkałem nikogo stamtąd. Poza tym w pobliżu jest sporo samotnych gospodarstw, utrzymywanych przez pojedyncze rodziny... Czasami dosyć liczne. Szczegóły poznać na swoim pierwszym patrolu, zapewne już jutro. Na dziś wystarczy, zapasy z wozu zanieście do spiżarni pod wieżą, Duncan, wskażesz im, gdzie. Robi się już ciemno, więc będzie też trzeba przyrzucić kolację. Tym zajmuje się Wielkolud, chyba że ktoś z was potrafi przygotować coś więcej niż ziemniaki ze słoniną. Resztę wieczoru macie wolną, jutro rano zajmujemy się wdrożeniem was w nowe obowiązki. Rozejść się.

*

– Gdzie jest pomieszczenie dla kobiet? – spytała Clara, przyglądając się wnętrzu baraku.

– Obawiam się, że nie ma – stwierdził przeproszającym tonem Duncan.

– To barak koedukacyjny – powiedział Edwin, siadając na swoim łóżku.

– Co to ma znaczyć?

– Koedukacyjny znaczy... – pośpieszył z wyjaśnieniem Śmieszek.

– Wiem, co to znaczy koedukacyjny – przerwała mu Dama.

Duncan musiał przyznać, że sam jedynie domyśla się znaczenia tego słowa. Zapewne nie on jeden w pomieszczeniu.

– Pytam, co to znaczy, że mamy spać tutaj? Razem z bandą napalonych samców. To całkowicie wykluczone. My, kobiety, się na to nie zgadzamy.

– Mnie tam wszystko jedno – stwierdziła Matylda, siadając na najbliższym z łóżek.

– Jak możesz tak mówić, co jeśli... – dziewczyna zeszła do półszeptu i nachyliła się do swojej rozmówczynie, jakby mówiła coś okropnego – ...co jeśli spróbują robić z nami w nocy coś... niegodnego?

– Niech spróbują. – Blondynka bez najmniejszych śladów skrępowania zdjęła koszulę, wystawiając swój wydatny biust na spojrzenia bandy napalonych samców.

Po chwili nie tyle zagroziła, co po prostu stwierdziła:

– Pierwszy, który czegoś spróbuje, straci fujarę.

– No cóż... – Przez chwilę Clara wydawała się całkowicie zbита z tropu, szybko jednak odzyskała rezon.

– Tak czy inaczej, ja i... Cassandra nie będziemy spać w takich warunkach. Prawda?

Potwierdzenie przyszło w formie niezbyt pewnego kiwania głową.

– No widzisz. – Szlachcianka próbowała wziąć towarzyszkę za rękę, wywołując reakcję w postaci natychmiastowego cofnięcia się.

– Nie lubi, kiedy się jej dotyka – pośpieszył z wyjaśnieniem Duncan.

– Jeśli mogę dorzucić coś od siebie – wtrącił się Nathaniel – myślę, że istnieje proste rozwiązanie tej sytuacji. Takie, które pozwoli naszym damom – mówiąc to, wyraźnie spoglądał na jedną z nich – zachować godność i równocześnie nie wpłynie na funkcjonowanie tej komandorii. Parawan.

– I zapewne masz jakiś parawan wśród swoich licznych bagaży? – Dowódca rekrutów starał się powstrzymać narastającą złość na nowego towarzysza.

– Nie, ale mam namiot. Jeśli odpowiednio obejdziemy się z materiałem, z którego jest zrobiony, otrzymamy dwie sporych rozmiarów płachty. Następnie wystarczy przymocować je gwoździami tam – wskazał jedną z poziomych belek pod sufitem. – Otrzymamy w ten sposób kurtynę z wyjściem pośrodku, która oddzieli ostatnie cztery łóżka od reszty sali. Proste i skuteczne rozwiązanie.

I znów ten cudowny uśmiech triumfu. Duncan z trudem powstrzymywał ochotę wybicia kilku z tych zębów.

– Wyśmienity pomysł, dziękuję, Nathanielu – powiedziała Clara, muskając ustami jego policzek. – Cas-sandro, chodźmy, zajmiemy nasze łóżka.

Wszystkie trzy kobiety zebrały swoje rzeczy i ruszyły w kierunku pokrytej mchem wieży, której bok stanowił równocześnie tylną ścianę baraku.

Oczywiście sam Książę nie miał zamiaru nic robić, wyciągnął tylko z właściwego kufra swój ciemnozielony namiot i zagonił Luciusa i Magnusa do roboty. Matylda zgłosiła się do gotowania, co okazało się prawdziwą ulgą dla podniebień mieszkańców komandorii. Nawet Olaf wydawał się zadowolony z tej zmiany, choć swoim zwyczajem nic nie powiedział.

Tej nocy we wspólnym baraku było tłoczno. Duncanowi to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, pomieszkowanie w podobnych miejscach przyzwyczaiało go do zasypiania w tłumie. Odgłos oddechów innych ludzi ułatwiał mu podążenie do krainy snów, dawał poczucie bezpieczeństwa.

*

Noc nie była bezpieczna. Wręcz przeciwnie, w ciemnościach zawsze czaiła się groźba. Drapieżnik, gotowy dopaść nieuważnych i słabych. Tak właśnie lubił o sobie myśleć Valerian.

Znalezienie odpowiedniej chaty zajęło wieczność. Dom musiał stać na uboczu, z dala od innych, mieścić odpowiednią liczbę kobiet, by starczyło do rytuału, ale niezbyt wielu mężczyzn zdolnych do obrony. I być blisko traktu, by ułatwić ucieczkę. Ostatni wymóg nie był trudny do spełnienia, jako że większość budynków Nowej Srebrnicy stała wzdłuż drogi. Po kilku godzi-

nach obserwacji znaleźli też chałupę na skraju osady, zamieszkałą przez jakiegoś chłopca i jego cztery córki. Teraz tylko musieli poczekać, aż osada pogrąży się we śnie i uważać na patrolujących ją członków wiejskiej milicji. Oczywiście, atak na jakieś odosobnione sioło mógł być łatwiejszy, ale ani Valerian, ani jego towarzysze nie znali okolicy wystarczająco dobrze, by móc na czas odnaleźć odpowiednie gospodarstwo.

Zakradli się po północy. Valerian podążał za nimi, dosyć wystraszony. W tak upalną noc okiennice były otwarte na oścież, znacząco ułatwiając zbirom zadanie. Wślizgnęli się do środka niczym wyjątkowo cuchnące żmije. Sam Valerian pozostał na zewnątrz, dopóki nie otworzyły się drzwi. Następnie wszedł, garbiąc się i próbując zachować ciszę. Jego towarzysze porzucili już podobne środki ostrożności i chichotali, rozpalając palenisko.

– Już spokojnie – powiedział jeden z nich. – Załatwione.

Wnętrze chaty było jedną izbą. W rogu leżało ciało chłopca z poderżniętym gardłem. Obok siedziały cztery wystraszone dziewczyny. Najstarsza miała może szesnaście lat, druga była niewiele młodsza. Pozostałe dwie wydawały się jeszcze dziećmi.

– Zwiążcie je i zbierajmy się – szepnął medyk, nerwowo zerkając za okno.

– Spokojnie – odpowiedział Dalszy.

– Najpierw się trochę zabawmy – Bliższy oblizywał swój nóż z krwi, gapiąc się na więźniarki. Lekarzowi zrobiło się niedobrze.

– Nie ma na to czasu. Musimy się zabierać. Zabawicie się później.

– Później to nie będzie to – zaprotestował bandyta.
– Więc jak się dzielimy?

Doktor dopiero po chwili zrozumiał, że to pytanie było skierowane do niego.

– Nie mam zamiaru brać udziału w czymś takim – powiedział z odrazą. – Zwiążcie te dziewczyny i ruszajmy albo...

– Albo co? – Uśmiechnął się szubrawiec. – Pytam, którą bierzemy?

– Młoda miała być nietknięta.

– Jedna będzie. – Dalszy oblizał pokryte czyrakami usta.

Było w tym widoku coś, co sprawiło, że Valerian z trudem powstrzymał odruch wymiotny. Jedna ze starszych dziewczyn próbowała im przeszkodzić, ale silny cios w brzuch rzucił ją z powrotem na ziemię.

– Przestańcie – powiedział głośniejszym głosem lekarz. – Albo was powstrzymam.

Groźba nie zrobiła wrażenia na towarzyszach, którzy w odpowiedzi popchnęli go na ziemię.

– I lepiej tam zostać – zagroził Bliższy. – To który z nas zaczyna?

Uśmiechnął się do młodszej z dziewczynek, wywołując paniczne spazmy wszystkich sióstr.

Czarodziej podniósł się i wyciągnął zza pasa sztylet.

W odpowiedzi znów obalono go na ziemię. Tym razem jeden z bandytów postawił mu stopę na szyi.

– Długo jeszcze będziesz chojracył? – Roześmiał się oprych, uwalniając wreszcie krtań mężczyzny od

swojego buta. Oswobodzony zwinął się w kłębek i zaczął kasłać. Z jego oczu płynęły łzy.

Obłeśny potwór, zwyrodnialec jakich mało – pomyślał. Nienawiść dodała sił, by znów się podnieść.

– Ty naprawdę jesteś durny – stwierdził parszywiec, zdenerwowany faktem, że ponownie przerwano mu walkę z rzemieniami utrzymującymi jego nogawice na swoim miejscu. – Tym razem ci chyba coś utnę.

Czarownik próbował powiedzieć coś odpowiedniego do okazji. Gardło jednak odmawiało mu posłuszeństwa. Zamiast tego po prostu uniósł rękę, po czym wbił sztylet w dłoń.

*

Wrzask rozdarł ciszę panującą w pomieszczeniu. Duncan zerwał się momentalnie, odruchowo złapał miecz i ruszył w głąb baraku.

– Czekaj. – Zatrzymał go głos Nathaniela. – Claro, wszystko w porządku?

– Tak. – Dobiegł ich lekko stłumiony głos zza zasłony. – Zdaje się, że Cassandra miała koszmar. Ale chyba nic jej nie jest.

Za zasłoną zapaliła się świeczka. Po stronie mężczyzn z poszczególnych łóżek zaczęły dobiegać pomruki niezadowolenia. Księżę spokojnie podszedł bliżej.

– Claro, czy możemy wejść na drugą stronę?

– Co to, kurwa, za pytanie? – odpowiedział głos Matyldy.

– Chciałem tylko wiedzieć, czy jesteście odpowiednio odziane.

– Chwilę – odpowiedziała Clara.

Duncan musiał przyznać, że nawet o tym nie pomyślał. Korzystając jednak z okazji, postanowił sam nałożyć na siebie coś poza gaciami.

– Teraz mam się ubierać? Przecież i tak zaraz znów położymy się spać. – Dało się słyszeć narzekanie Matyldy.

Ulgar chrapnął głośno. Reszta mężczyzn po prostu leżała w swoich łózkach.

– Już. – Padło wreszcie przyzwolenie.

Po drugiej stronie Duncan i Nathaniel zobaczyli dziewczyny stojące obok Cassandry. Ta siedziała na swoim łóżku, obejmując rękoma kolana i bujając się w przód i w tył. Jej olbrzymia koszula zakrywała całe ciało.

– Nie wiem, co się z nią stało. Próbowалам ją pocieszyć, ale kiedy wyciągnęłam rękę, prawie mnie ugryzła. – Młoda Dama wydawała się prawdziwie przejęta.

Duncan powoli podszedł, trzymając otwarte ręce podniesione i na widoku.

– Wszystko w porządku?

– Krew, dużo krwi – odpowiedziała Cassandra, nawet nie patrząc na niego.

– Miałś koszmar. – Spróbował wyjaśnić, siadając na skraju łóżka. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że na stoliku obok leży kilkanaście różnego rodzaju noży.

– To nie był sen, on tam był, zły człowiek ubrany w ciemność, widziałam go wyraźnie, jak ciebie teraz. –

Zaczęła mówić bardzo szybko. – Przyszli w nocy i zabili ojca, a potem chcieli zrobić krzywdę córkom, ale on się sprzeciwił.

– Córkom?

– Były cztery i oni chcieli im zrobić coś bardzo złego. – Skuliła się jeszcze mocniej. – A potem zły człowiek zranił się w rękę i jeden z bandytów... To go rozzerwało, na kawałeczki. – Jej wzrok skupił się nagle na twarzy Duncana. – Rozsadziło go po całym pokoju. Był na ścianach i suficie, i wszędzie. Czerwono.

Opuściła wzrok i zaczęła bujać się jeszcze szybciej.

– Ona jest całkowicie szalona – stwierdził rozbawiony Nathaniel. Clara nie podzielała jego dobrego humoru.

– Wszystko będzie w porządku – powiedziała uspokajającym tonem. – To był tylko koszmar. Teraz wszyscy lepiej wróćmy do naszych łóżek i spróbujmy się jeszcze przespać.

Zebrani zaczęli się rozchodzić, ale usłyszeli za sobą jeszcze cichy głos Cassandry:

– To nigdy nie jest tylko sen.

*

– Wstawać! – Głos Olafa dokonał mordu na słodkim śnie. – Za chwilę chcę was wszystkich widzieć w siodłach! Jedziecie do Nowej Srebrnicy. Czas zobaczyć, ile jesteście warci!

– Nowej Srebrnicy? – Duncan wciągnął koszulę przez głowę, zadowolony z faktu, że Nathaniel dopiero próbował oprzytomnieć.

– W nocy porwano trzy dziewczyny. Wygląda na to, że w użyciu była magia. Ponoć jednym z napastników udekorowało cały pokój. – Olafowi wyraźnie wydało się to zabawne.

Duncan ziewnął i zaczął wciągać spodnie. Dopiero po chwili dotarło do niego, co właśnie usłyszał.

*

– To chyba najobrzydliwsza rzecz, jaką w życiu widziałem – przyznał Edwin, przyglądając się pomieszczeniu. – Zostały po nim tylko buty. I do tego to chyba najbrzydsze buty, jakie widziałem.

Czerwona maź, kiedyś będąca człowiekiem, pokrywała ściany i sufit, tworząc okrąg dookoła nietkniętego obuwia, wciąż zawierającego stopy właściciela. Ostre odłamki kości powbijały się we wszystko w odległości jakichś dwóch metrów od epicentrum. W zaskakujący sposób żadne fragmenty ciała nie zdołały się wydostać poza tę ograniczoną strefę rażenia.

– Trudno nawet powiedzieć, że był kiedyś człowiekiem – zauważył Nathaniel z wyraźnym obrzydzeniem.

– Nikt nie powinien tak umierać – stwierdził Ulgar. Potężny Nord sprawiał wrażenie, że poważnie rozważa zwrócenie pośpiesznie zjedzonego śniadania. – To go po prostu... rozprysło.

– Ekspłodował. – Dobiegł ich z zewnątrz głos Luciusa. Mnich siedział przed chatą, dochodząc do siebie po wcześniejszych wymiotach.

– Eksp... co?

– Eksplodował. To naukowe określenie tego, co się z nim stało. Uczzone określenie. – Poprawił się po chwili.

– Istnieje uczzone określenie na TO? – zdziwił się Ulgar.

– Oczywiście. Podobne wypadki zdarzają się, kiedy w grę wchodzi magia – pośpieszył z wyjaśnieniem Lucius.

– Widziałem dosyć – stwierdził Duncan, ruszając do wyjścia. Pozostali podążyli za nim.

Na zewnątrz powitał go tłum ciekawskich, powstrzymywanych przez członków tutejszej wioskowej milicji. Nowa Srebrnica była największą osadą w okolicy. Z populacją liczącą powyżej trzystu ludzi wydawała się właściwie małym miasteczkiem. Pierwotne osiedle, stojące tu od ponad stu lat, zbudowano na skrzyżowaniu dwóch ważnych traktów przechodzących z północy na południe i z zachodu na wschód. Szlak idący na wschód wprawdzie kończył się kawałek za miastem, co nie zmieniało faktu, że wydobyte w pobliskich kopalniach zapewniało Srebrnicy stały ruch. Obecna wioska powstała na ruinach tamtego skupiska ludności. Większość chat zbudowano na fundamentach dawnych domów, wiele odziedziczyło po poprzednikach kamienną ścianę lub dwie. Całość sprawiała wrażenie chaotycznego architektonicznego kanibalizmu. Co więcej, nowi osadnicy zajmowali głównie budynki wzdłuż traktu, sprawiając, że wioskę otaczały zaniedbane ruiny. Tu, na wschodniej rubieży, podobny widok nie był niczym wyjątkowym.

Duncan podszedł do pobliskiej drewnianej studni i napił się z wiadra.

– Dokładnie tak, jak powiedziała – stwierdził Nathaniel, zerkając na siedzącą nieopodal Cassandrę. – Wiesz, co to znaczy?

– Nie mamy pewności – zaprotestował Duncan. Choć właściwie zrobił to tylko po to, by nie zgodzić się z Księciem.

Clara i Magnus wyszli z pobliskiej chaty i podeszli do studni.

– Mała jest wystraszona, trudno było coś z niej wyciągnąć – powiedziała Dama. – Na razie zostanie u sąsiadów, ale już wysłali kogoś po jej rodzinę z Nowej Wioski.

– Wzruszające – przerwał jej Ulgar. – A dowieździeliście się czegoś na temat tego całego magicznego morderstwa?

– Nie przeszkadzaj, kiedy pani mówi – uciszył go Nathaniel, znów reagując szybciej niż Duncan. – Mów dalej.

– Z tego, co zdołaliśmy zrozumieć z jej opowieści, napastników było trzech. Wkradli się w środku nocy i poderżnęli gardło ojcu. Potem pokłócili się, zaczęli walczyć. Jeden z nich wbił sobie nóż w dłoń i wtedy jego przeciwnik... no cóż... Później zabrali starsze siostry. Ją zostawili. – Clara wydawała się naprawdę przejęta tą historią.

– Po jaką cholerę zadali sobie tyle trudu, by je porwać? – spytał Edwin.

– Niektóre rytuały wymagają złożenia ofiary – wyjaśnił Mnich. – W wielu przypadkach wymagana jest

ofiara z kobiet. Pokrewieństwo i wiek ofiar też mogą być czynnikiem. Szczególnie... dziewice są popularne, z racji swojej jakoby mistycznej mocy.

– Jakiej, kurwa, mocy? – zaniepokoiła się Matylda.
– Parę lat już minęło, ale ja żadnej mocy nie pamiętam.

– To oczywiście przesąd – poprawił się szybko młodzienc. – Lecz rytuały magiczne często opierają się na podobnych przesądach...

– Ile mamy czasu? – przerwał mu Duncan.

– To zależy od rodzaju rytuału. Być może do północy, może do południa. Może mieliśmy czas do świtu. Nie sposób...

Dowódca uciszył go ruchem ręki. Zapadła cisza.

– Jest ich dwóch – odezwał się wreszcie Magnus. – Prowadzą trzy związane dziewczynki. Nie dojdą zbyt daleko.

– W jakim miejscu można odprawić taki rytuał? – spytał dowódca rekrutów.

Lucius wzruszył ramionami.

– Problem w tym, że są tysiące możliwości. A księgi zawierające dokładny opis podobnych praktyk są zakazane zarówno przez kościół Deusa, jak i przez Szarą Straż, więc ja sam nigdy...

– Mnichu. – Dowódca sprowadził rozmówcę z powrotem na właściwy temat.

– Na pewno w jakimś odosobnionym miejscu, gdzie nikt im nie przeszkodzi, bo to może zająć nawet kilka godzin.

– Jesteśmy w środku puszczy – zauważył Nathaniel.
– Tu jest masa miejsc, gdzie nikt im nie przeszkodzi.

– W okolicy mieszka wielu łowców i drwali. Zawsze jest ryzyko, że kogoś spotkasz.

– Wzgórza – powiedział spokojnie Magnus.

Wszyscy zwrócili głowy w kierunku północnym.

– Miejscowi uważają je za przekłete, dlatego nie wznowili wydobywania w kopalniach – kontynuował. – Nikt nigdy tam nie chodzi. Na północ od Srebrnicy nie ma żadnych osad, żadnych gospodarstw. Nawet nasze patrole kończą się tutaj. W środku nocy mogliby po prostu pójść traktem i nikogo by nie spotkali.

– Nawet jeśli masz rację – wtrącił się Książę – to przeszukanie tych wzgórz zajmie tygodnie.

– Jak powiedział Magnus, mają związanych więźniów. Te wzgórza to trudny teren. Nie odeszli daleko.

– Duncan przez chwilę rozważał sytuację. – Musimy zawiadomić Olafa.

– Żartujesz? – sprzeciwił się szlachcic.

– Nie możemy sami walczyć z czarodziejem, potrzebujemy Szarego Płaszcz.

– Bzdura. Olaf wiedział, co tu się stało, a mimo to wysłał nas samych – zauważył Książę. – To oczywisty test. Chce zobaczyć, jak sobie poradzimy. Poza tym droga do komandorii i z powrotem zajmie dobre dwie godziny, te dziewczyny mogą być już wtedy martwe.

– Nie możemy sami zaatakować.

– Jak wolisz, nieustraszony przywódco. Biegnij schować się za wąsami dowódcy. Ja tymczasem poprowadzę tych, którzy faktycznie chcą ocalić porwane. – Arystokrata ruszył w kierunku koni. Ulgar podążył za

nim, po chwili dołączył też Magnus. Pozostali również wyglądali, jakby mieli zamiar ruszyć.

- Dobrze! Jedziemy. Ale ustalmy jedno, ja tu dowodzę.
- Oczywiście, nieustraszony przywódco.

*

W pomieszczeniu panował przyjemny półmrok. Pojedyncze promyki słońca wpadały przez dziury w dachu, ale zdawały się słabe, jakby przytłumione. Częstość nawet nie docierała do poznaczonych mistycznymi symbolami podłogi. Panowała tu nienaturalna cisza, nawet większa niż w innych miejscach na tym wzgórzu. Jakby wszystko, co żyje i wydaje dźwięki wyczuło, że nie będzie tu mile widziane. Równocześnie, skupiwszy się, człowiek mógł usłyszeć dźwięk. Dziwaczny odgłos, dochodzący zewsząd i znikąd, pojawiający się i znikający bez żadnego wzorca. Niektórzy znawcy tematu, zwłaszcza ci bardziej religijni, wyrażali opinię, że to odgłos tysięcy demonów wrzeszczących na dnie piekła. Inni twierdzili, że to duchy umarłych, przyciągane przez magię albo starsze byty, tańczące w innym świecie. Być może nawet odgłos pęknięcia fizycznej rzeczywistości. Tylko nieliczni badacze potrafili przyznać, że zwyczajnie nie mają pojęcia, coż to jest.

W powietrzu unosił się zapach pleśni, zgnilizny i zwierzęcych odchodów. Valerianowi to nie przeszkadzało. Już nie. Siedział w kącie starej, zrujnowanej chaty i czekał. Lewa ręka bolała go niemiłosiernie. Owinięta brudną szmatą dłoń była całkowicie spar-

liżowana. Do tego dochodziło doświadczenie początków gorączki.

Pomyślał o zakażeniu i to go rozbawiło. Przypomnił sobie, że od tego się zaczęło. Szukał sposobu na radzenie sobie z zakażeniami. To doprowadziło go do tej starej książki na dziadkowym strychu. Kiedy to było? Sześć lat temu? Teraz wydawało się, że w innym życiu. Proste zakłęcie, niewinna zabawa.

– Widzę, że wszystko gotowe – dobiegł go głos Olbrzyma.

Valerian otworzył oczy i zobaczył wielką, pozbawioną włosów głowę, zaglądającą do środka. Podniósł się z trudem i wyszedł na zewnątrz. Zaskoczyło go, jak jasny i przyjemnie ciepły był ten dzień.

– Nie wyglądasz najładniej – usłyszał.

– To nic. Zakłęcie mnie wyczerpało. No i pewnie zakażenie. Zajmę się tym później. Nic mi nie będzie. – Starał się mówić twardo, ale drżący głos zepsuł efekt.

– Jak wolisz. Jesteś gotów? Świetnie. – Stwór pstryknął palcami i spomiędzy drzew wyszedł jeden z jego zbirów, prowadząc małe, wystraszone dziecko.

Dziewczynka była ubrana w brudną koszulę nocną. Jej twarz pokrywały łzy i smarki. Widok był żałosny, mimo to Valerian nie odczuwał pogardy, a raczej strach.

– Ona pierwsza? – spytał niepewnie. – Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział, co się stanie.

– Wypełnisz moje rozkazy, a potem zaczniesz nowe życie, mogąc kontynuować swoje badania w luksusie i wygodzie – przypomniał rozmówca.

– Tak, ale... ale co stanie się tutaj? Co stanie się, kiedy odprawię rytuał?

– Tego nie musisz wiedzieć. Sam wszystko przygotowałeś, więc wiesz, że nie ma tutaj pułapki. Niczego, co mogłoby skrzywdzić osobę odprawiającą rytuał. – Zapewnienie brzmiało nad wyraz spokojnie.

– Tak, ale... – Valerian spojrzał na dziewczynkę. – Gdybym wiedział, łatwiej byłoby mi pogodzić się z...

– Chyba raczej usprawiedliwić to, co zrobisz. – Ołbrzym znów wydawał się rozbawiony. – Naprawdę, rozczarowujesz mnie.

Lekarzowi kręciło się w głowie. Gorączka zdawała się rosnać z każdym oddechem. Serce łomotało w piersi. Myśli zaczynały mu się plątać. I jakimś sposobem nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to dziecko cały czas patrzy na niego z wyrzutem.

– Ja tylko... Ja nie jestem jak ty. Ja muszę...

– Naprawdę? – Rozległ się obrzydliwy chichot. – Nie jesteś? Znałem jednego, który miałby inne zdanie.

– Nie miałem wyboru. – Wielkie krople potu spływały po jego twarzy. Chciało mu się wymiotować. – Nie chciał słuchać. Był zagrożeniem.

– I zapewne nie było żadnego, jakby to ująć, bardziej subtelного sposobu na pozbycie się go?

– Musiałem im pokazać, że nie żartuję. Że muszą się ze mną liczyć.

– Naprawdę? Rozsadziłeś go na miliony kawałeczków. Przychodzi mi do głowy co najmniej kilka innych metod, by pokazać, że nie żartujesz.

– Nie chciał słuchać. Był brudnym dewiantem! – Kręciło mu się w głowie. Czuł się jak w potrzasku. – Był ohydny potworem! I ten szczur śmiał mnie dotknąć! Śmiał położyć swoje brudne łapska...

Olbrzym śmiał się, co sprawiało, że świat wydawał się trochę ciemniejszym miejscem.

– Każdy jest potworem, ty i ja – stwierdził wreszcie, nachylając się. – Jesteś dziką bestią, kochającą władzę i moc nad życiem i śmiercią innych. To dobrze. Jesteś drapieżnikiem. Wejdź do środka i wytnij jej serce. Tego od siebie oczekujesz, to doda ci sił.

Świat rozmył się i zawirował. Wszystko zdawało się umykać. Wszystko poza dwojgiem małych, wystraszonych niebieskich oczu, które wydawały się ścigać go, nieważne, gdzie odwrócił wzrok. Valerian zerwał się i pobiegł. Popędził przed siebie, byle gdzie, byle dalej od tego wszystkiego. Wpadł pomiędzy drzewa, niczym szalenciec zbiegając w dół wzgórza, a straszliwy śmiech Olbrzyma był jedynym, co podążyło za nim.

Biegł wprost przed siebie, w dół. Potykał się, zahaczał o gałęzie i krzewy. Rozdarł ubranie, ale pędził dalej.

W pewnym momencie stracił równowagę, padł na ziemię i zaczął się toczyć. Świat wirował, tym razem dosłownie. Valerian cudem omijał drzewa.

Wreszcie zatrzymał się. Przez chwilę leżał na plecach z zamkniętymi oczami, próbując złapać oddech.

– To on, jego widziałam w wizji! – Odezwał się gdzieś obok kobiecy głos. Poturbowany, powoli otworzył oczy i dostrzegł kilka postaci stojących nad nim.

Jedną z nich był młody brunet, który wycelował w niego ostrze miecza.

– Co ci się stało w dłoń? – spytał mężczyzna.

– Zraniłem się – odpowiedział niewinnie. Jego umysł działał z opóźnieniem, więc dopiero po chwili dostrzegł herb zdobiący zbroję młodzieńca. W nagłym przypływie paniki spróbował się podnieść.

– Łap go, Magnus – rozkazał Duncan i wtedy jeden z jego osiłków złapał Valeriana za dublet, bez problemu postawił go na nogi, a potem oparł o pobliskie drzewo.

– Urwać mu łeb? – spytał swojego dowódcę.

– Jeszcze nie. Gdzie dziewczyny?

– Nie wiem.

– Gdzie są?! – wrzasnął Duncan. Równocześnie Magnus przyparł jeńca mocniej do drzewa.

– Wyżej... Najmłodsza jest w chacie, dokładnie nad nami. Ale już za późno.

– Idziemy – padł rozkaz. – Matylda, pilnuj go. Jeśli zacznie wykonywać dziwne ruchy rękoma lub mówić w nieznanym ci języku, zrób mu krzywdę.

Wysoka blondynka złapała Valeriana i wykręciła mu lewą rękę.

– Jeśli czegoś spróbujesz... – Wcisnęła mu palce w ranę na dłoni. Ból pozbawiał oddechu. – Rozumie się? A teraz idź.

Pchnęła go do przodu, prowadząc przed sobą.

Podróż w górę zbocza okazała się udręką. Gorączka coraz mocniej mu doskwierała, a żelazny uścisk Matyldy, zmuszający do kolejnych kroków, zdecydowanie nie pomagał. Próbując utrzymać przytomność, skupił

swoją uwagę na dziewczynie idącej obok. Była to krótko obcięta, drobna niewiasta, ubrana w najbardziej niedopasowany strój, jaki Valerian kiedykolwiek widział. Było w niej coś nietypowego. Coś, co sprawiało, że lekarz nie mógł odwrócić od niej wzroku. Nie chodziło o urodę. To było coś innego. Głębszego. Nie potrafił dokładnie tego określić. Po prostu patrzył. Cóż innego miał zrobić?

Nagle dziewczyna w dziwnym ubraniu zatrzymała się. Jej spojrzenie utkwiło w jakimś punkcie wyżej, a źrenice rozszerzyły się do absurdałnych rozmiarów. Valerian poczuł to dopiero kilka uderzeń serca później. Dziewczyna już wtedy leżała na ziemi, wrzeszcząc z bólu.

– Cassandra! – krzyknął ktoś obok, ale Valerian nie zdążył zorientować się, kto, bo w tym samym momencie fala dotarła do niego. Umysł, i tak trawiony już przez gorączkę, stanął w płomieniach, myśli rozbiegły się we wszystkich kierunkach, a pozostały jedynie ból i ciemność. I krzyk.

*

– Najmłodsza – powiedział stojący przed chatą Duncan. Jego kamienna mina wyrażała wszystko.

Spóźnili się.

Młody mnich zrobił w powietrzu znak Deusa i wbiegł do chaty. Cassandra wydawała się jakby nieobecna, trwała pogrążona w stuporze. Jej towarzysze daliby głowę, że w ogóle nie pamiętała tego, jak się tu

znalazła. Valerian zaś miał nadzieję, że teraz już dadzą mu spokój.

Rozczarował się.

– Gdzie są pozostałe dwie? – spytał dowódca, podchodząc bliżej. Próbował udawać spokojnego, ale w jego oczach błyszczał gniew.

– Nie wiem – odparł lekarz.

– Gdzie?

– Nie...

Mocne uderzenie obaliło go na ziemię. Zaskoczony zdążył jedynie wykrzyczeć:

– Nie wiem, wyżej! Zabrał je wyżej!

– Kto?! – Duncan wyciągnął sztylet i przystawił mężczyźnie do szyi.

– Olbrzym.

– Gdzie są?!

– Naprawdę nie wiem...

Duncan złapał więźnia za lewą rękę i wbił mu sztylet w świeżą ranę. Valerian wrzasnął z bólu. Resztki woli całkowicie go opuściły.

– Wyżej – wyszeptał z trudem. – W obozie, bliżej szczytu wzgórza. Jest tam Olbrzym i dwóch albo trzech z nim. Może i ma ich pośród tych wzgórz całą masę. To on wydaje rozkazy. Skoro wszystko przygotowałem, mógł kazać im odprawić rytuał... Przysięgam. – Jego głos z każdym słowem robił się coraz bardziej płaczliwy.

Duncan wstał, splunął i ruszył w kierunku szczytu wzgórza. Z chaty wyszedł mnich, niosąc ciało dziewczynki. Wydawało się, że dziecko nie spuszcza wzroku

ze swojego poturbowanego, skomlącego oprawcy, choć w tych oczach nie było już życia.

Duncan zatrzymał się na chwilę i spojrzał na zwłoki małej.

– Edwin, weź Luciusa, Clarę i Cassandrę, zanieście ciało do rodziny. Reszta za mną.

– Cassandra idzie z nami – sprzeciwił się inny ze strażników.

– Nie mam na to czasu, Książę. – Valeriana zdziwiła trochę pogarda, z jaką Duncan wypowiedział to ostatnie słowo.

– Na pewno domyśliłeś się już, czym ona jest. Będziemy jej potrzebować.

– Tak, wiem, kim ona jest. I właśnie dlatego ją odsyłam, to zbyt niebezpieczne dla...

– Próbujemy znaleźć w puszczy kryjówkę czarodzieja. To może zająć dużo czasu. Możemy wpaść w jakąś magiczną pułapkę.

– Podjąłem decyzję. Ja tu dowodzę!

– I z jak cudownymi efektami.

Valerian odwrócił głowę i napotkał wzrok siedzącej obok Cassandry. Było w nim coś dziwnego. Coś, co go drażniło. Coś, co przypominało mu wzrok Olbrzyma.

Dziewczyna nagle wstała i podeszła do Duncana.

– Idę z wami – powiedziała cicho, po czym ruszyła w górę zbocza.

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie duży Nord podążył za nią, pozostali wkrótce dołączyli. Edwin wziął od Luciusa ciało dziewczynki i razem z mnichem ruszyli w przeciwną stronę. Valerian przekręcił się na

plecy i zamknął oczy. Przez chwilę myślał, że o nim zapomnieli. Pomylił się. Kiedy otworzył oczy, stała nad nim Matylda. Ostrze miecza oparła na jego klatce piersiowej. Pomiędzy żebrami, na wysokości serca. Jej twarz nie wyrażała absolutnie nic, choć Valerianowi wydawało się, że przez chwilę dostrzegł w jej oczach obrzydzenie.

– Zrobiłem to...

– Nikogo to nie obchodzi – przerwała.

– Nie skrzywdziłem jej – wyszeptał po chwili ciszy.

– Nie ocaliłeś jej – powiedziała spokojnie Matylda.

A potem nadeszła ciemność.

*

– Są przed nami – oznajmił Duncan. – Ukryli się w głębokim parowie.

– Kiepskie miejsce na obóz – ocenił Nathaniel. – A przynajmniej byłoby takie, gdyby ktoś z nas pomyślał o wzięciu ze sobą łuku.

– Czterech. – Przełożony zignorował ten komentarz. – Dwóch układa kamienie przy ognisku w jakiś wzór, chyba przygotowują rytuał.

Zaczął rysować patykiem na ziemi prostą mapę.

– Kolejny jest tu, po lewej – dodał. – Pilnuje szafasu. Zapewne tam trzymają dziewczyny. Ostatni stoi tutaj, w tyle. Po wyglądzie zgaduję, że to właśnie jest ten cały Olbrzym.

– Więc jaki mamy plan? – spytał Książę. – Wpadniemy tam z wrzaskiem, mordując wszystko na swojej drodze?

– Konkretnie ty, Magnus i Ulgar. Zaatakujecie stąd i narobicie hałasu. W tym czasie ja i Matylda zaatakujemy od drugiej strony. Zajmiemy się strażnikiem przy szalasi, a potem ruszymy dalej. Tym sposobem przeciwnicy znajdą się w kleszczach.

– Zaskakujące. To całkiem niezły plan. Dobra robota, nieustraszony przywódco.

– Zajmijcie pozycje i poczekajcie chwilę, żebyśmy zdążyli podejść jak najbliżej. Cassandra, idziesz z nami, ale trzymaj się w tyle. Wszyscy wiedzą, co mają robić?

Rozległo się potwierdzające mruknięcie, po czym rozdzielili się na dwie grupy. Dowódca rekrutów wraz z Matyldą i Cassandrą ruszyli naprzód, starając się zachowywać jak najciszej.

Kiedy już dotarli na odpowiednią pozycję, zaczęła się najtrudniejsza część. Czekanie.

– Mam pytanie – odezwała się Matylda, kiedy jej towarzysz po raz kolejny poprawił ułożenie kolczugi na ramionach. – To nie jest twoja pierwsza prawdziwa walka, prawda?

– Nie – odpowiedział twardo. – Byłem już w walce. Raz.

– Pocieszające.

– Ja jeszcze nigdy nie byłam w czymś takim – odezwała się za nimi Cassandra. Dziewczyna zdjęła buty, a teraz wiązała koszulę w talii.

– Co robisz?

– Upewniam się, że nie będzie mi zawadzać – odpowiedziała, zabierając się za rękawy.

Mężczyzna przez chwilę się jej przypatrywał, dosyć zaskoczony.

– Tylko trzymaj się w tyle.

Pokiwała głową, choć nie był pewien, czy w odpowiedzi na jego słowa, czy tak po prostu.

– Myślisz, że Nathaniel był już w walce? – spróbował zmienić temat.

– Wątpię. – Odpowiedź towarzyszki poprawiła mu humor.

– A ty?

– Można powiedzieć, że...

Jej odpowiedź przerwał bojowy ryk Norda. Zaczęło się.

Natychmiast zerwali się na nogi i ruszyli. Minęli zarośla i ich oczom ukazał się parów wraz z małym, prymitywnym obozem. W tym miejscu zbocze było w miarę łagodne, więc zdołali po nim zbiec. Obdarty strażnik przed szaląsem podniósł jakąś pałkę, wyraźnie zaskoczony tym, co się dzieje. Duncan wrzasnął, dodając sobie odwagi. Nagle banita jęknął i padł na ziemię z wystającym mu z oczodołu nożem. Wojowniczką nawet nie zwolniła, przeskoczyła nad ciałem, zajrzała do baraku.

– Są całe – rzuciła szybko i natychmiast ruszyła dalej.

Jej kompan po chwili otrząsnął się z zaskoczenia. Rzucił okiem za siebie. Dostrzegł Cassandrę stojącą na górze i ściskającą kolejny nóż. Dziewczyna była wyraźnie z siebie zadowolona. Odwrócił się i ruszył za towarzyszką. Po drugiej stronie obozu zbocze było o wiele wyższe i bardziej strome. Ulgar po prostu zeskoczył z niego w biegu. Wyglądał naprawdę imponująco, le-

cąc w dół z krzykiem, ściskając topory w obydwu dłoniach. Efekt całkowicie zepsuło twarde lądowanie. Magnus spróbował zejść bezpieczniejszym sposobem, Nathaniel po prostu ruszył wzdłuż zbocza, szukając lepszej drogi.

Dwaj banici dopadli do gramolącego się z ziemi Ulgara i zaczęli go okładać wszystkim, co wpadło im w ręce. Matylda dobiegła do pierwszego, który próbował się zasłonić ściskaną pałką, ale szybko stracił ją razem z ręką. Drugi banita chciał uciekać, ale Magnus dopadł go i obalił na ziemię. Duncan rozejrzał się i zobaczył, że Olbrzym umyka w głąb parowu. Nie zastanawiając, się ruszył w pogoń. Nord wreszcie dźwignął się z ziemi, złapał jeden z leżących obok toporów i podążył za nimi.

Minęli szamoczącego się na ziemi Magnusa, który właśnie tłukł głową wyrywającego się przeciwnika o pobliski kamień. Duncan nawet nie zwolnił.

Pościg skończył się, gdy dobiegli do stromej ściany, stanowiącej koniec parowu. Olbrzym wyprzedził ich na tyle, by wdrapać się na górę, zanim dobiegła za nim pogoń. Mimo to postanowił zaczekać. Kiedy wreszcie strażnicy dotarli na miejsce, obydwaj oddychali ciężko po gonitwie.

– Wreszcie – odezwał się głębokim, dudniącym głosem potwór. – Już myślałem, że padniecie z wyczerpania gdzieś po drodze.

– Musimy go zająć z dwóch stron – powiedział cicho dowódca rekrutów. – Ty idź z prawej, ja uderzę z lewej.

– Jest pewna maksyma – kontynuował przeciwnik – której uczy się oficerów Legionu Imperialnego z od-

działów ćwiczonych do walki z przeważającymi siłami wroga. Może ją znacie...

Ulgar, nie zważając na nic, wyrwał się do frontalnej szarży. Jego towarzysz nie zdążył nawet zareagować, kiedy potężny cios oderwał Norda od ziemi i posłał na spotkanie ze ścianą parowu.

– Dziel i rządź – dokończył Olbrzym, jak gdyby nigdy nic. – Choć biorąc pod uwagę, jak łatwo było was rozdzielić, zgaduję, że w Zakonie was tego nie uczą.

Duncan nagle stał się nieprzyjemnie świadomy faktu, że został sam. Popędził tu jak głupiec, zostawiając wszystkich pozostałych w obozie. I to po tym, jak sam wielokrotnie powtarzał, że celem tego ataku jest ocalenie dziewczyn, a nie zabicie potwora.

– Jakies ostatnie słowa? – spytał Olbrzym, ruszając do ataku.

Duncan cofnął się. Jeden krok, drugi, trzeci. Nagle wyrwał do przodu w desperackiej szarży. Uniknął jednego ciosu wielkich łapsk, potem drugiego. Był blisko, już wyprowadzał pchnięcie.

Potężne uderzenie rzuciło nim o ścianę parowu. Zderzenie go zamroczyło. Dopiero po chwili z trudem dźwignął się na kolana. Nie miał miecza, czuł ból w całym ciele i z trudem łapał oddech. Jego przeciwnik tymczasem nadal wydawał się ponad dwuipółmetrowym zbiorem mięśni twardych jak stal.

– Świeżaki – stwierdził z pogardą stwór. – Naprawdę liczyłem na większe wyzwanie ze strony Zakonu. Na jakąś prawdziwą rozrywkę. No cóż, chyba podczas waszego ataku zobaczyłem tam jakieś kobiety. Może...

Monolog został nagle przerwany przez czubek ostrza wystający Olbrzymowi z gardła. Potwór przez chwilę wydawał się zaskoczony sytuacją. Poruszał bezgłośnie ustami jakby próbując złapać oddech, potem opadł ciężko na kolana. Przez chwilę jeszcze spoglądał na Duncana, po czym ostrze cofnęło się, a potężne cielsko upadło na ziemię bez życia, odsłaniając osobę stojącą z tyłu.

Nathaniel z pewnym zaskoczeniem spoglądał to na trupa, to na swój pokryty czarną krwią miecz. Przez chwilę sprawiał wrażenie naprawdę zdezorientowanego.

– Zupełnie inne uczucie, niż mówił mój ojciec – stwierdził wreszcie. Po czym jakby przypomniał sobie, gdzie jest. Spojrzał wprost na leżącego na ziemi Duncana, a na jego twarz powrócił uśmiech. – Dziękuję. Tak jak sądziłem, okazałeś się doskonałym odwróceniem uwagi. Naprawdę nie wiem, jak poradziłbym sobie bez twojej pomocy. Jeśli ten Nord jeszcze żyje, to on i Wielkolud powinni chyba zabrać to truchło. Zgaduję, że będziemy musieli je spalić, ale o tym powinien chyba zdecydować Olaf.

Nathaniel odwrócił się i ruszył w kierunku obozu banitów, wyraźnie zadowolony z siebie.

– Aha, jeszcze jedno. Nie musisz mi dziękować za ocalenie ci życia. Ostatecznie jesteśmy teraz obydwaj rekrutami Szarej Straży, to czyni nas prawie jakby przyjaciółmi. – Ruszył dalej, zanosząc się śmiechem.

*

Dym unosił się nad dogasającym stosem. Lucius odmawiał głośno modlitwę. Magnus, Ulgar i Matylda siedzieli obok, czekając, aż popioły ostygną i będzie można wrzucić kości i prochy Olbrzyma do wzmocnionej ołowianymi okuciami skrzyni. W ciągu miesiąca miał przybyć powóz, by zabrać trumnę do Krucej Skały, siedziby Bractwa Mędrców w Komandorii 1 – potężnej pradowej twierdzy, potocznie zwanej Czarną Skałą. Siedzący na szczycie wieży Duncan powoli przeniósł wzrok na dziedziniec wewnątrz palisady. Edwin grał jakąś spokojną melodię na lutni. Wprawdzie zakładając miedziany sygnet rekruta odrzucił życie barda, ale nadal starał się regularnie ćwiczyć. Nathaniel spacerował z Clarą, zapewne chwalać się swoim wczorajszym zwycięstwem. Nigdzie nie było widać Cassandry.

– Jak się czujesz? – spytał Olaf za jego plecami. To niezwykle, jak cicho potrafił się poruszać stary Strażnik.

– Lepiej. – Padła odpowiedź. – Okłady pomagają.

Kiedy wrócili do komandorii, okazało się, że nabyte przez Luciusa w klasztorze umiejętności zielarskie przydają się. Dzięki służbie u mnichów zdobył niemałą wiedzę na temat medycyny. A przynajmniej wystarczającą, by poradzić sobie z siniakami i skręceniami wyniesionymi z tego starcia.

Starzec podszedł bliżej i też spojrzał poza palisadę, na dogasający stos.

– Co się z nim dalej stanie? – spytał Duncan.

– Kruki z Czarnej Skały zabiorą to, co z niego zostało do swoich laboratoriów i przebadają na wszelkie

możliwe sposoby. Potem przetrząsną pradawne księgi, sprawdzając, czy Zakon już kiedyś natknął się na podobną istotę. Jeśli tak, uzupełnią opis o nowe informacje. Jeśli nie, sporządzą nową notę, sprzecząc się przy tym o masę nieistotnych szczegółów. Potem odłożą tomy na półkę i wrócą do swoich zajęć. Tak jak my.

– I tyle?

– I tyle.

– A co z pozostałymi? Nadal nie wiemy, co on chciał osiągnąć za pomocą tych rytuałów. Ani czy osiągnął coś dzięki pierwszemu, temu, którego nie zdążyliśmy powstrzymać?

Olaf wzruszył ramionami.

– Byłoby łatwiej, gdybyście sprowadzili któregoś z tych bandytów żywego. Choć po prawdzie to wątpię, by mieli dużo do powiedzenia. Istnieją tysiące różnych rytuałów. Wiele takich, które odprawiono tylko kilka razy w historii i nikt nigdy ich nie opisał. Nie ma najmniejszych szans, byśmy zorientowali się, co się stało. Jeśli mamy szczęście, ceremonia nie zadziałała, bo na przykład wymagała złożenia wszystkich trzech ofiar. Jeśli nie mamy szczęścia, co zdarza się dużo częściej, no cóż... Cokolwiek to jest, poradzimy sobie z tym. Po to tu jesteśmy. Na razie najważniejsze, że ocaliliście porwane dziewczyny.

Duncan przerzucił spojrzenie z powrotem na Nathaniela i Clare.

– Cassandra jest czującym – stwierdził wreszcie.

– Wiem, Nathaniel nie omieszkiał mnie o tym poinformować. Choć, prawdę powiedziawszy, wiedzia-

łem już wcześniej. Zakon wysłał mi informacje o każdym z was, zanim się tu pojawiliście. To nie jest Legion Imperialny, Kruki uwielbiają mieć wszystko udokumentowane.

– Czy to dlatego jest taka... dziwna?

– Może. Wielu czujących popada w szaleństwo. Trudno im się dziwić. Widzą rzeczy niedostępne innym, słyszą różne dźwięki i głosy. Dosłownie czują magię. Niekoniecznie potrafią to znieść, choć znam takich, którzy zachowują się całkowicie normalnie. Spotkałem też mnóstwo szaleńców, którzy byli po prostu obłąkani. Żałuję, że nie mam dla ciebie więcej odpowiedzi, ale, no cóż, tak to już jest. – Odwrócił się i ruszył w kierunku schodów. – Dzisiaj macie jeszcze wolne. Magnus i Ulgar muszą odpocząć i zaleczyć rany. Ale jutro o świcie zbierz ich na trening. Jeśli masz ich prowadzić, musisz wiedzieć, na co ich stać.

Te słowa wywołały zdziwienie u młodzieńca, co nie umknęło uwadze jego rozmówcy.

– Coś nie tak? – spytał.

– Nie, po prostu myślałem, że po tym, co stało się wczoraj, oddasz funkcję dowódcy rekrutów Nathanielowi.

– Myślenie najwyraźniej nie jest twoją mocną stroną. – Uśmiechnął się Olaf.

– Czy to... – Duncan bał się zadać to pytanie, ale musiał wiedzieć. – Czy to z powodu mojego ojca?

Przełożony zmierzył go wzrokiem.

– Służyłem z twoim ojcem przez dwa lata w Komandorii 36. Był dobrym człowiekiem i wspaniałym Szarym Strażnikiem. Szczerze mówiąc, widzę w tobie

wiele cech, które czyniły go takim. Ale powiedzmy to sobie jasno. Jeśli uznam, że nie nadajesz się do dowodzenia, to nieważne, czy twój ojciec był Szarym Płaszczem, księciem czy samym cholernym Imperatorem. Rozumiemy się?

– Tak.

– Dobrze. Pierwszy raz dowodziłeś ludźmi w boju. Wykonałeś zadanie, zniszczyłeś wroga i zdołałeś sprowadzić tę bandę patałachów z powrotem w jednym kawałku. Na razie to wystarczy. Na razie.

ROZDZIAŁ II

Ależ mnie boli tyłek – pomyślał Lucius, zwlekając się ze szkapy.
– Coś nie tak? – spytał Duncan, sprawnie zeskakując ze swojego konia.

– Nie, prostu nie jestem przyzwyczajony.

– W klasztorze zapewne nie było za dużo jazdy konnej – stwierdził Nathaniel, patrząc z wysokości swojego rumaka. Zarówno on, jak i dowódca rekrutów wydawali się wręcz urodzeni w siodle.

Mnicha pocieszał jedynie fakt, że Magnus i Ulgar wyglądali na równie zmęczonych i obolałych. Żaden z nich nie dosiadał wierzchowca przed wstąpieniem do Straży.

Nowa Wioska, w której się znajdowali, była drugą co do wielkości osadą w okolicy, prezentowała się jednak o wiele skromniej niż Nowa Srebrnica. Kilkuset mieszkańców rozlokowało się w niewielkich, otoczonych prymitywnymi ogrodzeniami chatach dookoła

wzgórza, na którym stała duża Kamienna Sala, pełniąca zarówno funkcję miejsca spotkań, jak i czegoś w rodzaju małej warowni. Lucius poświęcił chwilę, próbując dostrzec jakiś porządek w sposobie rozlokowania poszczególnych domostw. Skutek był niezbyt zadowalający. Wyglądało to tak, jakby ludzie po prostu budowali akurat tam, gdzie im się podobało, całkowicie ignorując wszelkie względy estetyczne i praktyczne.

– Nie mają nawet palisady – zauważył Ulgar z dezaprobatą. – Z dwudziestoma wikingami można by zniszczyć całą osadę.

– Więc dobrze, że w okolicy nie ma dwudziestu wikingów – stwierdził ostro Duncan. – Magnus, przypilnuj koni. Reszta za mną. Wziąłeś książkę?

– Tak – potwierdził Mnich. – Najgrubszą i najstarszą, jaką znalazłem. To zbiór podań ludowych na temat grzybów zebranych z całego Imperium. Autor...

– Nieważne. Po prostu trzymaj ją tak, żeby wszyscy widzieli i rób mądrą minę. Nord, ty wyglądasz groźnie.

– A czy zdarza mi się wyglądać inaczej? – Uśmiechnął się wojownik, poprawiając uczezione przy pasie topory.

– Nathaniel... ty po prostu się nie odzywaj.

Książę skinął głową, nie powstrzymując się przy tym od pogardliwego prychnięcia.

Czwórka rekrutów ruszyła na szczyt wzgórza, starając się omijać wszechobecne psy, dzieci i kurze odchody. Jak zwykle najczęściej brudnych, półnagich wyrostków biegło za wikingiem. Ten odstraszał je, robiąc groźną minę, choć faktycznie wyglądało na to, że zainteresowanie go cieszyło.

W Kamiennej Sali panował przyjemny chłód. Marmurową posadzkę pokrywała słoma i naniesiona z pola ziemia. Podłużne ławy ustawiono pod ścianą, by nie przeszkadzały, kilka kobiet krzątało się obok nich z mokrymi szmatami, czyszcząc pozostałości po wczorajszej uczcie. Jakieś dziecko grzebało patykami w popiołach wielkiego paleniska, ulokowanego na środku pomieszczenia. Sędzia Adrian siedział na dębowym krześle, na końcu sali. Dookoła stali inni starcy i trzej potężnie zbudowani synowie sędziego, stanowiący wioskową milicję.

Dowódca rekrutów powoli podszedł i usiadł na brudnym, rozpadającym się taborecie naprzeciwko mieszkańców wioski. Wiking stanął za nim, wyglądając nawet groźniej niż zwykle. Lucius ustawił się po drugiej stronie, trzymając księgę w możliwie najbardziej demonstracyjny sposób i starając się sprawić inteligentne wrażenie. Specjalnie na tę okazję założył swoje stare mnisie szaty, które ponoć sprawiały, że wyglądał mądrzej. Nathaniel obrzucił całe pomieszczenie lekceważącym spojrzeniem z typowym dla siebie wyrazem dezaprobaty na twarzy, po czym oparł się o jedną z potężnych kolumn, które biegły w dwóch szeregach wzdłuż pomieszczenia.

Przez chwilę panowała cisza, zagłuszana jedynie przez bawiące się na środku pomieszczenia dziecko.

– Nie ma mowy – zaczął wreszcie Adrian. – Chłopak już jest zaręczony z dziewczyną ze Starego Dębu.

Sędzia był wiekowym wojakiem, noszącym liczne blizny i nadal postawnym pomimo wieku. Żołnierska

przeszłość zapewniała mu szacunek miejscowych, choć los wyraźnie zabrał mu już cierpliwość.

– Mógł o tym pomyśleć, zanim zrobił brzuch Polinie. – Głos Duncana był całkowicie beznamiętny.

– Nie ma pewności, że to jego. Rozkładała nogi przed jednym, mogła rozkładać przed innymi.

– Dziewczyna twierdzi, że tylko przed nim.

Dziadek prychnął.

– A kto by tam jej, kurwie, wierzył – wtrącił się jeden z siedzących obok starców. Inni zgromadzeni poparli go zgodnym pomrukiem.

– Dziewczyna jest z biednej rodziny – przemówił przywódca, uciszając ich ręką. – Nie ma szans na dobry posag, urodą też nie grzeszy. Nie uda jej się złapać takiego chłopaka jak Jokov inaczej niż na brzuch. Jakby była przyzwoita, to by poszła do zielarki i się brzucha pozbyła.

– Kapłani Deusa zakazują takich praktyk – stwierdził dowódca rekrutów, zerkając na wiszący na ścianie, otoczony kręgiem krzyż solarny.

– Rozkładania nóg przed ślubem też. Jak już raz zgrzeszyła, to niech teraz załatwi sprawę. – Kolejny pomruk aprobaty rozległ się wśród chłopów.

– Jeśli chcesz, Lucius może przeczytać, co na ten temat mówi Kodeks Imperialny. – Duncan wskazał na ciężkie tomiszcze opisujące ludowe podania na temat grzybów.

Odpowiedziały na to pogardliwe prychnięcia, ale zgromadzonym wyraźnie zrzędyły miny.

Od ponad stu lat nie widziano tu urzędnika imperialnego – pomyślał Mnich. A oni nadal czują zabo-

bonny wręcz szacunek do praw ustanowionych przez dawnych Imperatorów.

– Jokov ma miesiąc, żeby ożenić się z Poliną albo znaleźć jej innego męża – zarządził Szary Strażnik nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Adrian przez chwilę mierzył wzrokiem młodszego o dobre trzydzieści lat mężczyznę. Wreszcie pokiwał głową z rezygnacją.

Jego rozmówca wstał i bez słowa ruszył do wyjścia.

– Chłopcze – odezwał się starzec. – Robisz się zbyt dobry w tej grze.

Duncan dopiero teraz pozwolił sobie na uśmiech.

– Nie, to ty robisz się za stary – odpowiedział przyjacielsko.

– Będziecie jutro na uczcie?

– Za nic byśmy tego nie przegapili.

*

W normalnych okolicznościach rozsądzanie podobnych sporów nie leżało w gestii Szarej Straży. Na bardziej cywilizowanych obszarach zająłby się tym miejscowy władca. Tu takiego nie było, każda z okolicznych wiosek miała swojego sędziego do rozstrzygania sporów. Jeśli jednak problem dotyczył mieszkańców różnych osad lub ludzi mieszkających w puszczy, potrzebny był zewnętrzny arbiter. Lucius nie wiedział, jak rozwiązywano takie problemy przed powstaniem Komandorii, ale teraz chłopci mieli w zwyczaju zgłaszać się po pomoc do Zakonu. Oczywiście Olaf nie

miał najmniejszego zamiaru bawić się w mediatora, więc szybko zaczął zrzucać ten obowiązek na Duncana. Jak się zresztą okazało, dowódca rekrutów świetnie radził sobie w tej roli.

Magnus czekał przy koniach, zwyczajowo otoczony wianuszkami dziewcząt. Lucius odruchowo ruszył za Ulgarem, próbując pozostać niezauważonym dla przedstawicielek płci przeciwnej.

– Witajcie, dziewczki – przywitał się Nord z kobietami, niby mimochodem eksponując swoje mięśnie. Niewiasty zachichotały zgodnie, po czym ruszyły w swoją stronę.

– Chyba wpadłem w oko tej blondynce w niebieskiej chuście – stwierdził wiking, śledząc je wzrokiem.

– Malianie? – zdziwił się Wielkolud. – Zapomnij, już zaręczona jest. I najwyraźniej szaleńczo zakochana – dodał z żalem.

– Jak poczuje moją bestię między nogami, to zaraz się jej odmieni.

Lucius z trudem wspiął się na konia, nadal próbując pozostać niezauważony. Rozmowy o kobietach go peszyły, a myśl o byciu wciągniętym w takową konwersację napawała strachem. Zamiast tego zwrócił się do swojego przełożonego:

– Nieźle ci tam poszło.

– Zgadza się – przyznał Nathaniel. – Tak świetnie idzie ci rozwiązywanie problemów prostego ludu, że może powinieneś rozważyć karierę wędrownego sędziego.

– Zabawne – odparł Duncan ze znużeniem. – Może ty powinieneś rozważyć karierę błazna. Cass może ci nawet pożyczyć kostium.

Księżę odpowiedział kpiącym uśmiechem.

– Zbierajmy się – pogonił wszystkich dowódca rekrutów. – Chcę jeszcze przed kolacją odbyć z wami kolejny trening.

Luciusowi zrzedła mina. Nie znosił ćwiczeń. Jeden z mnichów, były legionista, dał mu w klasztorze kilka lekcji władania mieczem, ale w porównaniu z pozostałymi kandydatami Straży były zakonnik pozostawał w tyle. Duncan i Nathaniel spędzili połowę życia ćwicząc walkę mieczem. Matylda miała doświadczenie, Magnus i Ulgar nadrabiali braki w wyszkoleniu siłą i zajądłością, a Edwin szybkością i sprytem. Nawet Clara przed przybyciem tutaj miała osobistego nauczyciela szermierki. Tylko Cassandra radziła sobie gorzej od Luciusa, ale jedynie dlatego, że nigdy nie zdołali faktycznie zmusić jej do walki. Atakowana, zawsze odruchowo odskakiwała od przeciwnika i zaczynała ciskać w niego wszystkim, co wpadło jej w ręce. Raz prawie złamała Nathanielowi nos, trafiając go w twarz jednym ze swoich ciężkich, okutych butów.

– Nadal planujemy jutro pojawić się na uczcie? – upewnił się Magnus, kiedy minęli zabudowania wioski.

– Tak – potwierdził dowódca. – Nie pozbawiłbym tych wszystkich miejscowych panien twojego towarzystwa.

– Jego? Niech no tylko zobaczą mnie – wtrącił się wiking.

– Jesteś tu od miesiąca i jakoś jeszcze nie widziałem, by kobiety się na ciebie rzucały – zakpił Wielkolud.

– Kiepsko zacząłem, ten cholerny Olbrzym, skrecona kostka. Ale teraz już doszedłem do siebie. Po tej

uczcie ślicznotki będą o mnie opowiadać jeszcze swoim wnukom. – Spojrzał na Luciusa, jak gdyby oczekiwał potwierdzenia. – A ty, Mnichu? Planujesz porwać jakąś gąskę w krzaki?

– Ja... yyy... to znaczy, jeśli chodzi o niewiasty... Yyy...

– Słuchaj, Nordzie – wtrącił się Magnus. – Jeśli uda ci się dobrać do większej liczby dziewczek niż mnie, to przez miesiąc będę brał za ciebie patrole.

Ulgar zmierzył towarzysza wzrokiem.

– A jeśli ty wygrasz?

– Wtedy ty będziesz brał moje patrole. Uczciwy zakład.

– Umowa stoi. – Nord splunął na dłoń i podał ją rozmówcy, ten odpowiedział podobnym gestem.

– Tylko pamiętajcie, że mają być chętne – upomniał dowódca. – To nie jest jakaś wyprawa łupieżcza.

– Uwierz mi, gdyby była, to z tej osady już nic by nie zostało – zaśmiał się wojownik.

Nathaniel nachylił się do Duncana.

– Swoją drogą ciekawi mnie, czy ten osiłek kiedykolwiek miał kobietę, która faktycznie była chętna? Choć pewnie to łatwiejsze, kiedy rabujesz właśnie jej wioskę.

– Zabawne, zadawałem sobie to samo pytanie odnośnie ciebie. Choć pewnie to łatwiejsze, kiedy są służącymi twojego ojca. Jestem naprawdę ciekaw, czy udałoby ci się dobrać do którejś z tych chłopek bez popisywania się ładnie brzmiącymi tytułami?

– Pewnie moglibyśmy sprawdzić, gdyby nie fakt, że nie interesują mnie proste wieśniaczki. A Clara zdecydowanie

nie jest niczyją służącą – odpowiedział Księżę, uśmiechając się równie znacząco, po czym pogonił swojego konia.

*

Jezioro wydawało się niesamowicie spokojne. Lekki wiatr wywoływał tylko niewielkie zmarszczki na powierzchni wody. Gdzieś w oddali, za wyspą, łodzie rybaków z Głębinówki dryfowały powoli w poszukiwaniu zdobyczy. Na bezchmurnym niebie szybowało kilka ptaków. Lucius przymknął oczy w nadziei na krótką poobiednią drzemkę. Rozkoszował się panującą ciszą i spokojem.

Straszliwy okrzyk bojowy przeszył powietrze. Ulgar, goły jak go Deus stworzył, przebiegł dziedzińiec i z głośnym chluśnięciem wskoczył do wody. Na chwilę zniknął pod jej powierzchnią, po czym nagle wynurzył się, wydając z siebie triumfalny ryk.

– To jak obserwowanie małego niedźwiadka – stwierdził Edwin, siadając obok Mnicha w malejącym cieniu wieży strażniczej.

Było już prawie południe, za kilka godzin mieli ruszyć do Nowej Wioski na ucztę i Duncan wyjątkowo zwolnił ich z popołudniowego treningu.

Po chwili pojawił się też Magnus, zrzucił ubrania i ostrożnie wszedł do wody. Mijał miesiąc, a on nadal nie nauczył się pływać.

– To musi być niezwykła okazja, skoro nawet Wielkolud postanowił się umyć – zażartował Śmieszek. – A ty, podeksycytowanyś ucztą?

– Yyy... tak. – Lucius w sumie sam nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Geneza tego miejscowego święta go ciekawiła. Obchodzono je w Nowej Wiosce co roku z początkiem września, na pamiątkę powstania osady. To była historia, więc go to interesowało. Jeśli chodzi o samą ucztę, nigdy dotąd na żadnej nie był. W klasztorze uroczyste posiłki od zwykłych różniło tylko lepsze jedzenie i trochę weselsze śpiewy. I nie było tam kobiet.

– Rany, zostaw trochę tego entuzjazmu na później. O, idzie nasza para książęca. – Na ustach Edwina pojawił się psotny uśmiech, zdobiący zwykle twarze dzieci, które właśnie postanowiły napchać komuś gnoju do butów. – Claro! Lepiej nie podchodź bliżej! Obawiam się, że niektórzy mniej kulturalni członkowie naszej małej społeczności postanowili kąpać się nago.

Edwin całkowicie nie pasował do tego miejsca. Urodził się i wychował w Błękitnym Porcie, jednym z potężnych Wolnych Miast Zachodu. Większość ze swoich dwudziestu lat życia spędził wewnątrz pradawnych murów miejskich, zanurzony w ludzkim mrowisku pełnym przybyszów z najdalszych zakątków Imperium. Cisza, spokój i las były dla niego czymś całkowicie nowym i nieprzyjaznym. Niemniej jednak starał się odnaleźć w nowej rzeczywistości na swój kpiący sposób.

– Szokujące, Edwinie. – Clara wydawała się raczej rozbawiona. – A wiesz może, kiedy skończą?

– Obawiam się, że to może trochę zająć, zanim cały brud zejdzie z naszego drogiego Magnusa.

– Mogę poczekać.

– Oczywiście, że możesz, jak zwykle, ale...

– Tak?

– Słońce zbliża się do zenitu, czasu na przygotowanie do uczty coraz mniej. A te draby pewnie będą tam siedzieć dosyć długo. – W głosie Edwina pojawiła się wyraźna, choć trochę przesadna nutka żalu. – A po wyjściu nie czeka na nich patrol ani żadna inna praca, więc będą się zapewne krzątać po dziedzińcu i nieprzyzwolicie – zawiesił głos – ...zerkać.

– I zapewne tak się składa, że ty masz jakąś metodę, żeby temu zaradzić? – włączył się do dyskusji Nathaniel.

– Zapewne. – Trubadur odwrócił się i wskazał zdobiącą środek jeziora wyspę. – Na północnej stronie tej wysepki znajduje się niewielka zatoczka. Jest dobrze osłonięta drzewami i zaroślami, zarówno od strony lądu, jak i wody. Co więcej, panuje tam przyjemny cień, a to z pewnością będzie miłą odmianą dla twojej jakże już nadwyreżowanej słońcem cery.

– Dziękuję Edwinie, wyśmienity pomysł. Cassandro, udamy się na wyspę – stwierdziła Clara, przerywając drugiej dziewczynie desperacką próbę wydostania się z olbrzymiej koszuli. – Matyldo, czy ty... Nieważne.

Matylda swoim zwyczajem bez najmniejszych oznak skrępowania zrzuciła ubranie i nabierała właśnie rozpędu, by wskoczyć do jeziora z małego pomostu do cumowania łodzi. Dla zebranych mężczyzn był to bieg wyjątkowo widowiskowy.

– Oczywiście, jestem pewien, że nasz książę nie pozwoli damom wiosłować – ciągnął swój wywód Edwin.

– Oczywiście – potwierdził Nathaniel.

– Świetnie. – Bard zaczął się już odwracać w kierunku Luciusa, ale nagle jakby coś sobie przypomniał. – Tak sobie myślę, że to chyba trochę nie przystoi, by młody szlachcic znajdował się na odosobnionej wyspie sam z dwiema, bądź co bądź, nagimi niewiastami. Oczywiście, nikt nie insynuuje tak szlachetnej osobie jak nasz książę jakichś bezecznych i niegodnych zamiarów, niemniej chyba wyglądałoby to lepiej, gdyby udał się z wami ktoś jeszcze. Jakaś persona o nieposzlakowanej reputacji. Na przykład... – przez chwilę spoglądał na Mnicha – nasz szlachetny dowódca rekrutów.

Zarówno Nathaniel, jak i stojący kilka metrów dalej Duncan wydali się szczerze zaskoczeni. Tymczasem Clara zareagowała natychmiastowo, jakby nie zauważając nic niezwykłego w propozycji.

– Wyśmienity pomysł. Z dwoma tak dzielnymi i wprawnymi wojownikami chyba obydwie będziemy się czuć bezpiecznie. I z całą pewnością docenimy towarzystwo po drodze. Tym sposobem będziecie mniej zmęczeni wiosłowaniem.

Obydwaj wskazani mężczyźni potwierdzili z dworską wręcz uprzejmością i ruszyli przygotować łódź.

– W tym przedstawieniu był jakiś większy cel czy po prostu lubisz patrzeć, jak skaczą sobie do gardeł? – Clara spytała szeptem.

– Jeszcze nie wiem. Choć, jeśli już przy tym jesteśmy, zastanawia mnie, pani, jaki ty miałaś cel w tym, by mi pomóc?

– Pomogłam ci?

– Nie przeszkodziłaś – zauważył Edwin. – I to zdanie o czuciu się bezpieczniej przy dwóch tak wspianych wojownikach... Naprawdę byłem poruszony.

Clara jedynie uśmiechnęła się zagadkowo i razem z Cassandrą ruszyła w kierunku łodzi.

Po kilku minutach cała czwórka była już w drodze na wyspę. Żegnana machaniem stojących na brzegu Edwina i Luciusa.

– Ja tam ich nie rozumiem – stwierdziła Matylda, patrząc na oddalającą się łódkę. – Się kąpać w samotności. Nas było piętnaścioro w chacie i wszyscy na jednej podłodze spali, i razem w rzece pływali i nikt się tam na golasa nie wstydał biegać.

– No cóż, nie wszyscy pochodzimy z tak uroczym dekadencjonalnych miejsc, jak ty.

– Uważaj se. – Matylda gwałtownie wynurzyła się z wody. – To, że obrażasz mój dom uczonymi słowami nie oznacza, że ci nie przywalę. A ty co tak znowu wzrok ode mnie odwracasz? Do ciebie mówię, Mniczu.

Lucius uparcie starał się nie odrywać spojrzenia od ziemi.

– Ja... Po prostu nie przystoi, by...

– Następny.

– Daj mu spokój, biedak pewnie nigdy nie widział tak dorodnie obdarzonej niewiasty. W klasztorze pewnie dużo ich nie było.

– Właściwie to wcale – wyznał z ociąganiem Lucius. – Ani na samej wyspie. Więc... Pierwszy raz faktycznie spotkałem kobietę dopiero w porcie, dwa miesiące temu.

– Dziadek zawsze mówił, że te całe kapłany to są popieprzone – stwierdził z przekonaniem Ulgar.

– No, to wyjaśnia, dlaczego tak ciężko ci się z nimi rozmawia – przyznał Edwin. – Ale chwila, czy to znaczy, że nasza jakże urocza Matylda jest twoim pierwszym kontaktem z panną, jakby to rzec, roznegliżowaną?

Lucius niechętnie pokiwał głową, czując, jak policzki zaczynają go palić żywym ogniem.

– Że co?

– Nigdy nie widział gołej baby – wyjaśnił Śmieszek.

– Aha... No teraz to się faktycznie czuję trochę nie-swojo – stwierdziła Matylda, krzyżując ręce na piersiach.

– Nie martw się, młody, mogłeś trafić gorzej. – Bard przyjął mentorski ton. – Pierwsza kobieta, którą ja zobaczyłem nago, do dziś prześladuje mnie w koszmarach...

– Chwila – wtrącił się Ulgar. – Czy to znaczy, że on nigdy nie chędożył?

– Tak, mój drogi barbarzyński przyjacielu – potwierdził Śmieszek. – Fakt, że nigdy nie widział nagiej kobiety i niezbyt potrafi rozmawiać nawet z ubranymi, niechybnie świadczy, że nie chędożył... Chyba, że w sodomii.

Lucius jakimś cudem zdołał zaczerwienić się nawet bardziej.

– Deusie, nie. Oczywiście, że...

– Tylko się upewniam. W moich stronach sodomia jest uznawana za coś w dobrym guście.

– Naprawdę?

– Nie.

– Co to ta cholerna sodomia? – spytał Ulgar.

– Jak facet chędoży z innym facetem – wyjaśniła Matylda.

– Co chędoży?

– Siebie nawzajem.

– Co, kurwa?! – Po pierwszej chwili zaskoczenia Ulgar omiół zgromadzonych mężczyzn podejrziwym spojrzeniem. – Cholerni południowcy. U nas to się takim na miejscu chuje odrąbuje.

– Niezłomna moralna postawa wobec dewiacji – stwierdził Edwin. – A niektórzy twierdzą, że północ to barbarzyńska kraina.

Jego ton nie zdradzał nawet najmniejszych oznak kpiny:

– Ale wracając do tematu, nasz drogi Lucius faktycznie nigdy nic. Ale nie ma tego złego, przed nami ucztą. Wino, śpiew, wino, kobiety i wino. A takie zestawienie dobrze wróży.

– Jak to? – Lucius nagle zmienił się w małe, schwyte w pułapkę zwierzątko. – Nie trzeba, ja...

– Od czego są przyjaciele – przerwał mu Śmieszek, po czym wymownie spojrział na Magnusa.

Wielkolud przez chwilę przyglądał się całej scenie, jakby znudzony.

– Briana – stwierdził wreszcie.

– Świetny wybór – zaaprobował Edwin. – Kojarzysz, Luciusie? Blondynka, trochę pulchna, ale za to te usta...

– Nie wiem, czy... To znaczy... nie wiem, czy to byłoby odpowiednie.

– Oczywiście, że nie wiesz. W całym życiu widziałeś tylko jedną nagą kobietę. Ale uwierz mi, to dobrze ci zrobi.

– Jasne – dodał Ulgar. – Raz zakosztujesz tego, co baby chowają pod kiecką, to zaraz przestaniesz się przy nich jękać.

Matylda wyglądała, jakby miała zamiar coś dodać, ale zrezygnowała i zanurzyła się w wodzie.

– Uwierz mi, Luciusie. – Edwin uśmiechnął się. – To będzie pamiętna noc.

*

Zatoczka po północnej stronie wyspy faktycznie okazała się dobrze ukryta. Pokryte zaroślami brzegi niemal zamykały się dookoła niej, pozostawiając tylko kilkumetrowe połączenie z resztą Głębokiego Jeziora. Nigdy niekarczowane drzewa otaczały to miejsce, tworząc zieloną ścianę. Wprawdzie sam zalew nie należał do największych czy najgłębszych, ale dla dwóch niewiast był więcej niż wystarczający.

– Tak lepiej – stwierdziła Clara. – Choć to nie to samo, co marmurowa wanna i pachnące olejki. No i zimą będzie problem. Zdecydowanie będziemy potrzebowały wtedy odpowiednio dużej balii i gorącej wody. Nathaniel i Duncan muszą się tym zająć. Wchodzisz?

Cassandra stała na brzegu, zanurzając stopę i gwałtownie podrywając ją do góry, rozpryskując wodę. Dopiero po chwili zdecydowała się zanurzyć całą.

– Przyjemne – stwierdziła z uśmiechem.

– To nic, pamiętam kąpiele w basenach pałacu mojej... W pałacu, gdzie się wychowałam. Cudowne zapachy w powietrzu, płatki kwiatów unoszące się na wodzie, ploteczki z damami dworu. – Uśmiechnęła się.

– Brakuje ci tego?

– Oczywiście. Ale tamto życie jest już za mną. A teraz... Co robisz?

Cassandra zerwała się nagle, wyszła na brzeg i przez chwilę szukała czegoś w zostawionej tam torbie. Wreszcie z wyrazem triumfu na twarzy wyjęła kilka kwiatów i zaczęła odrywać im płatki i wrzucać je do wody.

– Dziękuję – stwierdziła Dama z uśmiechem. – Teraz faktycznie jest jak w domu. Ptaki możemy uznać za bardów... I nawet mamy kawalerów czekających na nas z komplementami.

– Dlaczego to zostawiłaś i przybyłaś tutaj?

– Obawiam się, że nie do końca miałam wybór. – Przez chwilę Clara jakby posmutniała. – A ty? Co robisz w takim miejscu?

Cassandra przez chwilę się nad tym zastanawiała.

– Mieszkałam na ulicy w mieście i żonglowałam nożami dla ludzi. Pewnego dnia podszedł do mnie mężczyzna w szarym płaszczu i powiedział, że muszę dołączyć do Szarej Straży. A oni wysłali mnie tutaj.

– Tak po prostu? Ktoś do ciebie podszedł i kazał ci tu przyjechać?

– Miał długą siwą brodę i pierścień z krukiem. Wyglądał na bardzo mądrego. Trzeba słuchać mą-

drych ludzi. – Sztukmistrzyni przytaknęła sobie, kiwając głową.

– Czyli był z Bractwa Mędrców. Pierwszy raz słyszę, by zajmowali się oni rekrutacją.

– Nie wiem. – Wariatka wzruszyła ramionami. – Ale sprawiał wrażenie, że wie, co mówi. Kiedy jest się szalonym, nie powinno się spierać z ludźmi, którzy wiedzą, co mówią. – Znów pokiwała głową.

Clara przez chwilę rozważała te słowa.

– Więc powinnaś ubrać sukienkę – powiedziała tonem świadczącym, że wie, co mówi. – Nie patrz tak na mnie, musisz ubrać ją na ucztę.

– Matylda nie ubiera.

– No cóż, jeśli ona chce ubierać się po męsku i rezygnować ze swojej przewagi, to jej sprawa.

– Czasami w ogóle się nie ubiera – stwierdziła Cass, próbując złapać małą rybkę.

– Wiem, to okropne. Madame Luana zawsze powtarzała, że naga kobieta nie ma już nic więcej do dodania.

– Madame kto? Złapałam!

– Świetnie. Madame Luana, nasza nauczycielka etykiety. Kiedy ją poznałyśmy, była już stara i pomarszczona, ale w młodości uznawano ją za najbardziej pożądaną kobietę w Wysokim Porcie. Ponoć jedno jej słowo potrafiło obalać potężne, starożytne rody i wyprowadzać w pole wielotysięczne armie.

– Musiała być piękna.

– Nie była brzydka. Choć nie należała też do piękności. Ale jak sama mówiła, to, czego Deus poskapił jej w urodzie, nadrobił w rozumie. Zawsze powtarzała,

że mężczyźni władają światem używając mieczy, armii i tytułów. A kobiety używając mężczyzn.

– Tak jak ty używasz Duncana i Nathaniela? – Padło pytanie, podczas gdy kolejna ryba została wyłowiona z wody.

– Otóż to – potwierdziła Clara.

– Matylda też nimi rządzi. Jak ktoś robi nie po jej myśli, to go bije.

– Wybacz, że wolę władać przy użyciu sukni. Nasza towarzyszka mogłaby naprawdę zyskać, gdyby stała się trochę bardziej... kobieca.

– Czy to dlatego muszę założyć sukienkę na ucztę?

– Właśnie.

– Ale ona jest niewygodna. Trudno w niej biegać i oddychać – poskarżyła się Cass.

– Moja droga, to znaczy, że pasuje doskonale. W tym worku, który nosisz na co dzień, w ogóle nie widać figury. Tę suknię specjalnie przerobiłam tak, by uwypuklała twoje atuty. I uwierz mi, nie było to łatwe, skoro nawet nie dałaś mi się dotknąć.

Kuglarka przez chwilę patrzyła w dół jak skarcone dziecko.

– Mogę zawsze iść nago, jak Matylda. Wtedy wszyscy zobaczą moją figurę.

– Nie, nie, nie. Już ci mówiłam. Naga kobieta nie ma nic do dodania. Musisz ich przyciągać, podkreślać swoje zalety, podsycać ich wyobraźnię, ale nie ukazywać za dużo. To jak niepisana umowa. Oczekiwanie na nagrodę zawsze jest bardziej motywujące niż samo jej uzyskanie.

– To strasznie skomplikowane.

– Wiem, ale taki jest świat. Jak mówiła Madame Luana, życie prawdziwej damy to nieustająca bitwa. – Clara uśmiechnęła się do wspomnień.

– Ale nie jesteś już damą, teraz jesteś rekrutką.

– Ależ nie! Prawdziwa dama powinna być nią zawsze i wszędzie. Niezależnie od wszystkiego.

*

Duncan wystawił głowę z wyciągniętej na brzeg łodzi i ze znudzeniem spojrzał na pobliskie zarośla.

– Ile jeszcze może im to zająć?

Duncan większość ze swoich szesnastu lat spędził w drodze, przenosząc się z miejsca na miejsce między gorącymi wybrzeżami południa a mroźnymi górami północy. Przemierzał obszerne tereny, od potężnych miast zachodu po wyludnione rubieże wschodu, na których znajdowali się obecnie. Czuł się na miejscu wszędzie tam, gdzie powiewał sztandar Zakonu. Tutaj jednak było za daleko, aby mógł go zobaczyć. Nie nawykł do odpoczynku w zatoczkach.

– Nigdy nie poganiaj dam – stwierdził Nathaniel, krążąc po niewielkiej plaży. – Zwłaszcza kiedy biorą kąpiel... Ubierają się, tańczą, chodzą, jedzą czy doświadczać innego rodzaju rozkoszy. – Uśmiechnął się niedwuznacznie.

Dowódca rekrutów nie skomentował. Położył się na dnie łodzi i wbił wzrok w niebo.

– Zdaję sobie sprawę, że moje towarzystwo może ci nie odpowiadać – zaczął po chwili Książę, wyraźnie znudzony podziwianiem krajobrazu. – Ale pomyśl, że mogło być gorzej. Ja utknąłem tu z tobą.

Znów odpowiedziało mu milczenie. Nie mając najwyraźniej nic lepszego do roboty, Nathaniel podszedł do łodzi.

– Nie lubisz mnie, ponieważ uważam, że ludzie dzielą się na lepszych i gorszych. Ale czy możesz powiedzieć, że się mylę? Sam Deus nas tak podzielił. Jedni rodzą się piękni, inni szkaradni, jedni bywają mądrzy, inni zaś głupi, są bogaci, są biedni. Tak ułożony jest świat. Kim jestem, by się z tym sprzeczać?

– Nie lubię cię, ponieważ jesteś dupkiem, który uważa siebie za lepszego od innych – poprawił rozmówca.

– A nie powinienem? Urodziłem się w głównej gałęzi rodu Eversonów, jednego z najstarszych rodów w Imperium. Wśród moich przodków byli władcy, generałowie, zdobywcy, artyści, filozofowie, reformatorzy, przywódcy religijni, nawet kilku Imperatorów. Ja sam jestem młody, przystojny, inteligentny i sprawny fizycznie. Nie prosiłem o to, nie zabiegałem, niemniej Deus obdarzył mnie wszystkimi tymi cechami i postawił tam, gdzie się znajduję. Można rzec, że zostałem przez niego wybrany. Czemu więc nie powinienem czuć się lepszego?

– To twoje usprawiedliwienie? Deus wybrał cię, byś urodził się z takim a nie innym nazwiskiem, więc jesteś lepszy od wszystkich dookoła?

– Władam mieczem lepiej niż większość znanych mi ludzi. Od dziecka byłem uczony, przygotowywany do przewodzenia ludziom, wydawania rozkazów, podejmowania decyzji czy operowania swoim słowem w odpowiedni sposób. Mam możliwość decydowania o losach setek, a nawet tysięcy ludzi. I kiedy przyjdzie pora, będę to robił. Wezmę na siebie odpowiedzialność za los maluczkich, bo do tego się urodziłem.

Przerwał, by za moment podjąć:

– Wiesz, widziałem w życiu wielu szlachciców, którzy zapomnieli o swoich obowiązkach i swojej pozycji. Dogadzali swoim potrzebom, aż stali się tak tłuści, że nie widzieli nic poza swoim brzuchem. Zmienili się w żałosne, słabe kreatury, warte jeszcze mniej niż najgorszy żebrak. Mój ojciec pokazywał mi ich na dworze w Smoczym Leżu i sam ich widok sprawiał, że chciało mi się wymiotować. Widzisz, szlachectwo to nie przywilej, to obowiązek. By być lepszym, by stale się doskonalić, by nie zmarnować roli, którą przeznaczył ci Deus. Ludzie nie rodzą się książętami Terylu, by wieść bezbarwne życie i dogadzać swoim potrzebom. Rodzą się nimi, by osiągnąć wielkość. A kim jestem ja, by walczyć z przeznaczeniem? Czasami wręcz zazdroszczę prostym ludziom braku tak wielkiej odpowiedzialności.

– Tak, jestem pewien, że tak właśnie myślą sobie, kiedy umierają z głodu, bo susza zniszczyła im plony.

Nathaniel uśmiechnął się.

– Jesteś hipokrytą, wiesz o tym?

– Doprawdy?

– Obwiniasz mnie o stawianie się wyżej od innych, ale sam czynisz dokładnie to samo.

– Nieprawda. – Ostra reakcja rozmówcy mówiła sama za siebie.

– Uważasz, że jesteś lepszy, ale nie dlatego, że masz nazwisko, a dlatego, że masz to. – Arystokrata podniósł dłoń, eksponując miedziany pierścień rekruta. – I wkrótce zamienisz go na brązowy, dostaniesz płaszcz, tatuaż i będziesz członkiem Zakonu Szarej Straży. A oni przecież są lepsi niż zwykli ludzie. Ba, może nawet zasłużysz sobie na złoty sygnet Bractwa Dowódców.

– Nawet jeśli, to, jak wspomniałeś, będę musiał na to zasłużyć. Tak jak wszyscy inni.

Książe wzruszył ramionami, odszedł kilka kroków i usiadł pod drzewem. Duncan przez chwilę przyglądał mu się, po czym mimowolnie przerzucił spojrzenie na zarośla.

– Nieładnie, panie przywódco – zaśmiał się jego towarzysz. – Poza tym między nami i nagimi niewiastami jest kilkadziesiąt metrów takich zarośli.

– Ty jesteś, jak sądzę, zbyt doskonały, by o tym myśleć?

– Oczywiście, że o tym pomyślałem. Ale nie będę próbować przystawek, skoro w perspektywie mam główne danie. Clara jest damą, przywykłą do pewnych standardów. Ja te standardy spełniam i zaspokajam. Poza tym, bądźmy szczerzy, czemu miałyby na ciebie spojrzeć, mając obok mnie? Członkowie mojego rodu służyli w Zakonie od stuleci. Mam wśród przodków aż czterech Wielkich Mistrzów, wiedziałeś o tym? Ja planuję być

piątym... Gdy tylko zdobędę płaszcz, liczę na jakiś porządny przydział i na to, że w krótkim czasie otrzymam miejsce w wiadomym Bractwie. Złoty pierścień pasuje do mnie o wiele lepiej niż taki z brązu. Oczywiście wcześniej zamierzam zostać tu szefem rekrutów, że o dobraniu się do naszej uroczej Clary nie wspomnę.

– Nie dostaniesz mojego stanowiska i naprawdę wątpię, byś dostał Clare. Ona zwodzi cię od miesiąca.

– To gra. Gra między mną i nią. A ty, niestety, stałeś się w tej grze pionkiem.

– Założmy się więc – wypalił rozmówca, zdenerwowany przechwałkami Księcia.

– Wszystko albo nic. – Na twarzy Nathaniela zagościł uśmiech triumfu. – Ten, kto zdoła zdobyć Clare, zostanie też dowódcą rekrutów. Jak ten głupi zakład Magnusa z Ulgarem, tylko z realnym wyzwaniem i prawdziwą nagrodą.

Duncan zawahał się, ale było już za późno.

– Zgoda – stwierdził wreszcie, podając rękę. – Kto zdobędzie Clare, ten zostanie dowódcą rekrutów.

*

– A my na nich i łup! – Ulgar machnął ręką w powietrzu, prezentując potężny cios toporem. – Nawet nie zauważyli, co ich rąbnęło. Z dwóch może padło, wszyscy się rzucili do ucieczki i tyle było z potężnego Legionu Imperialnego.

– Dupa to była, a nie legion – stwierdziła Matylda, wciągając ubranie na wciąż mokrą skórę. Było późno

popołudnie, mimo to wszyscy nadal siedzieli na nadbrzeżu. Edwin grał jakąś spokojną melodię. – Banda chłopów zebranych na szybko i nazwanych wojskiem. Mnie się zdarzyło stanąć przeciw prawdziwym legionom, z południa. Uwierz mi, oni tak łatwo się do ucieczki nie rzucają.

– Jakby naszych spotkali, to tyle by ich było widać – nie rezygnował Nord.

– Gówno prawda, mówię. Legion, prawdziwy legion, to nie jakaś banda łupieżców. To niewzruszony mur tarcz. U nich nie ma bohaterów, co to z krzykiem na wroga się rzucają. Legion walczy w ciszy, jeden obok drugiego, jak jedno ciało. Jedyne, co od nich słyszać, to gwizdki, którymi komendy wydają.

– A gdzie w tym chwała? Gdzie okazja do sławy? – upierał się Ulgar.

– Nigdzie. Oni nie walczą, by zdobyć chwałę. Biją się, by zniszczyć wroga. Uwierz mi, wikingu, służyłam kiedyś z bandą najemników w rebelii przeciw zarządcy imperialnemu w jakimś zapadłym księstwie na granicy Terytoriów Centralnych i Spornych Ziem. Jak doszło do bitwy, mieliśmy trzykrotną przewagę liczebną, mimo to rozbijaliśmy się o te tarcze jak fale o skały. Raz za razem, aż musieliśmy szarżować po stosach trupów. A potem ktoś gwizdnął i legionieci ruszyli równym krokiem, niczym jedna ściana. Po prostu zepchnęli nas z pola bitwy, a potem od flanki uderzyła w nas ciężka kawaleria. Nie było co zbierać – stwierdziła z mieszaną żal i podziwu. – Gdyby nie to, że bab do legionu nie biorą, to już bym tam służyła.

– A gdzie teraz ten legion? – spytał Magnus, jakby z wyrzutem.

– Tam, gdzie Imperium – odpowiedział Ulgar z uśmiechem. – Gdzieś bardzo kurewsko daleko.

– Nie można winić Imperatorów za niemożność utrzymania terytorium po Pladze – stwierdził Lucius uczonym tonem.

Magnus prychnął.

– Jak służyłem w wojsku mojego księcia, to on zawsze powtarzał, że my poddani Imperatora jesteśmy. Nawet jakiegoś urzędnika z południa miał na dworze. Nazywali go logat, legat czy coś takiego. Tak czy inaczej, jak wdaliśmy się w wojnę z sąsiednim władzą, to wszyscy mówili, że Imperium nam wsparcie przysła. Ale po roku mój książę nie żył, a ten cały legat już następnego dnia oferował imperialną pomoc temu drugiemu. I tyle nam było z Imperium.

– Do nas, na północ, to nawet urzędnicy nie docierają.

– W Wolnych Miastach Zachodu wszyscy uważają się za obywateli Imperium i władcy poszczególnych miast nawet płacą co roku podatek dworowi w Smoczym Leżu – przyznał Edwin. – Ale jak sam Imperator rozkazuje ten podatek podnieść, to wszyscy zgodnie go ignorują. Tyle zostało z dawnej potęgi. Niemniej chciałbym tu zgromadzonym zwrócić uwagę, że wszyscy, jak tu siedzimy, mówimy jednym językiem. Może nasze akcenty są skrajnie różne i ja sam do dziś mam problem ze zrozumieniem połowy słów, które opuszczają usta naszego towarzysza z północy, ale nadal jest to ten sam język. Język Imperium, w którym spisane są księgi, de-

krety i umowy handlowe. Język świętych ksiąg Deusa, modlitw i kazań. Język kupców i bardów, przemierzających nasz świat. Język, w którym śpiewa się stare pieśni i opowiada legendy. Wreszcie język, którym posługiwali się ludzie, którzy zbudowali te wspaniałe ruiny, tak gęsto rozsiane po okolicy. Mało tego! Wszędzie, gdzie zdarzyło mi się dotrzeć, spotykałem monety wzorowane na dawnej walucie Imperium. Wszyscy, jak tu siedzimy, w dzieciństwie słyszeliśmy legendę o tym, jak Pierwszy Imperator zwyciężył smoka i założył Smocze Leże. Wydarzenie, które przed Plagą uznawano za pierwszy rok nowej ery, początek historii. I co najważniejsze, wszyscy tu czujemy wyraźną różnicę między nami a dzikusami mieszkającymi dalej na wschodzie, za Wielką Puszczą i Wielkimi Górami. Ponieważ oni nie mówią tym językiem, nie znają tej legendy i nigdy, nawet przez chwilę, nie byli częścią Imperium.

Bard uśmiechnął się triumfalnie, widząc zgodę na twarzach towarzyszy.

– Możemy więc narzekać na Imperium, ale mimo wszystko i tak nadal czujemy się jego częścią – dokończył.

– Tak czy inaczej, nie ma strasniejszego widoku niż legion – powiedziała Matylda. – Jakby ten cały Imperator miał ich więcej, to może byśmy byli jego poddanymi w czymś więcej niż tylko nazwie.

– A Żniwiarze? – spytał po chwili Ulgar. – Oni są straszniejsi.

Lucius słyszał historie o tych wojownikach: Bractwo Egzekutorów, zbrojne ramię Zakonu, skupiające najlepszych, najbardziej zabójczych wojaków.

– Nigdy tak naprawdę nie widziałam żadnego – przyznała z ociąganiem Matylda.

– Jasne, że nie. Tylko jeden na sto Szarych Płaszczy dostaje srebrny pierścień z kostuchą – stwierdził Edwin z uśmiechem.

– Właściwie to raczej jeden na dziesięciu – wtrącił Mnich, najwyraźniej przegapiając sarkazm w wypowiedzi towarzysza. – Choć biorąc pod uwagę liczbę członków Straży, to i tak dosyć niska...

– Ja raz widziałem Żniwiarza – wtrącił Ulgar. – Przyszedł do naszej wioski, jak byłem mały. Wyglądał jak obdarty dziad, ale kiedy tylko pokazał pierścień, zaraz wszyscy się przed nim płaszczyć zaczęli. Próbowali udawać hardych, ale jasno widziałem, jacy wszyscy przerażeni byli. A to jeden staruch był. Pomyślałem wtedy, że oto jest prawdziwa siła.

– To już wiemy, jaką drogę kariery planuje nasz Nord.

– Żebyś wiedział, Śmieszku. Dostanę ten srebrny pierścień. Jeszcze będą mnie prosić, żebym go założył.

– Ktoś chce się założyć, że prędzej Magnus dostanie złoty sygnet Paladyna? – spytał trubadur, wyraźnie rozbawiony sytuacją. Nikt nie zdecydował się przyjąć zakładu. – Poza tym najpierw chyba musisz ogólnie załapać się do Straży. A słyszałeś Olafa, daje radę tylko czterech na dziesięciu rekrutów.

– A jak! I ja na pewno będę jednym z tych czterech. Wy wszyscy możecie co najwyżej walczyć o pozostałe trzy miejsca.

– Wiesz, z tymi czterema na dziesięciu to nie jest do końca tak – sprostował Mnich. – To raczej figura

statystyczna, niekoniecznie odzwierciedlająca faktyczny stan rzeczy.

Wyraz całkowitego braku zrozumienia, malujący się twarzy Norda, zmusił Luciusa do próby uproszczenia:

– To znaczy, że to niekoniecznie jest nasza dziesiątka. Pomyśl o tym raczej jak o... ośmiu na dwudziestu, albo czterdziestu na stu. To znaczy, że teoretycznie możemy się załapać wszyscy albo nikt z nas. To statystyka.

– To czemu Olaf powiedział, że czwórka się załapie? – dopytywał Ulgar.

– Powiedział też, że dwójka zginie – zauważył Śmieszek.

– Tak, ale pomyślałem sobie, że może jeden z tych, co umrą, to ten dziesiąty, co go tu nie ma, bo pewnie jest w innej komandorii.

– A co, jak on jest jednym z tych czterech, co się załapią? Pomyślałeś o tym?

– To wtedy zostały tylko dwa miejsca dla reszty z was.

– Ale pomyśl o tym: z punktu widzenia statystyki możliwe, że to ty jesteś tym dziesiątym z innej dziesiątki?

Nord podrapał się po głowie.

– Statystyka to jakaś pojebana bzdura jest.

– To nie tak – wtrącił się Mnich. – Słuchaj. Dostanie się ileś osób, najpewniej będzie to faktycznie czwórka, ale istnieje możliwość, że będą trzy osoby albo pięć. Cztery to nie jest ustalona liczba, jedynie najbardziej prawdopodobna.

– Wciąż myślę, że to jakieś pierdolenie jest – uparł się Ulgar. – I tylko mnie łeb od tego boli. O czymś normalnym pogadajmy.

– Jak to możliwe, że Żniwiarze wzbudzają takie przerażenie? – spytał po chwili zastanowienia Lucius. – Przecież to tylko ludzie. Może walczą dobrze, ale Brutus, mnich, który uczył mnie władania mieczem, zawsze powtarzał, że prędzej czy później każdy trafi na lepszego od siebie.

– Kiedyś w Błękitnym Porcie widziałem, jak całe zamieszki skończyły się, bo ktoś puścił plotkę, że Zakon ma zamiar wysłać Żniwiarzy. Tak już jest. Siła mitu. Ludzie wierzą, że Żniwiarze są niepokonani, podobnie jak wierzą, że Kruki znają odpowiedź na każde pytanie, a Paladyni potrafią wygrać każdą bitwę. Zakon przez stulecia o to zadbał.

– Wracają – stwierdził Magnus, wskazując odbijającą od wyspy łódź z czwórką pasażerów.

– Najwyższa pora – podsumowała Matylda. – Jedźmy się wreszcie zabawić. Od tego gadania zaschło mi w gardle.

Wszyscy zgodnie wstali i ruszyli w kierunku baraków. Magnus został trochę w tyle, zagadując do Edwina:

– Tak się zastanawiam. Jak to jest, że Imperium upadło, legionów nigdzie nie widać, nawet kapłani Deusa tu na wschodzie to rzadki widok, a Szara Straż nadal jest?

– Dobre pytanie – odpowiedział bard. – Powinniśmy je zadać Wielkiemu Mistrzowi, jak będzie nam wręczał płaszcz.